Nr. 50. Lwów — Piątek dnia 1 Marca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w Innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Albina B. Fteodora
Jutro: św. Symplicyusza Lwa pap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 53
Zachód „ „ 5 „ 35

Długość dnia g. 10 m. 42
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 28 lutego.

Z Petersburga donoszą niemieckie dzienniki, że sławny pisarz rosyjski hr. Lew Tołstoj wystosował do cara nazajutrz po jego znanych słowach do przedstawicieli „ziemstw“ następujący list otwarty:

„Oto przemówiłeś Najj. Panie i słowa twoje obiegły całą Rosyę, cały świat cywilizowany. Nie znano cię dotąd, a teraz poznano jako wielkość już trapioną przez „niedorzeczne marzenia“. Nie wiemy, czy pojmujesz, co stworzyły te słowa twoje, ale wiemy, żeś od rzeczywistego życia tak bardzo odsunięty, iż tego, coś uczynił, nie możesz w zupełności o[bjąć] umysłem. Przedewszystkiem, faktem jest, że źle cię pouczono o prądzie, który zaatakowałeś. Ani jedno ziemstwo, a w nich ani jeden człowiek nie podniósł się przeciw autokracyi. Liberalne ziemstwa proszą tylko o łączność cara z narodem, o to, aby one miały przystęp do tronu, o swobodę prasy, o usunięcie czynowniczej samowoli, słowem o to, aby znikła ta biurokratyczno-dworska ściana, która cara dzieli od jego narodu. To są owe „niedorzeczne marzenia“. Wykształcone społeczeństwo rosyjskie wie kto cię skłonił do tego nieodrobionego kroku: oto przedstawiciele tej falangi biurokratyczno-dworskiej okłamali cię i przerazili obawą o całość samowładztwa, na które nie nastaje żaden Rosyanin. Przez zbyteczną troskliwość o autokracyę, niezaczepianą przez nikogo, nie chcesz dopuścić ziemstw do głosu o sprawach wewnętrznych. Takie stanowisko twoje obala nawet to, co trwało przy twym ojcu, bo przecież za jego panowania ziemstwa były cząstką administracyi wewnętrznej. Społeczeństwo dobrze rozumie, żeś, rzucając swe pamiętne słowa, nie był rzecznikiem owej idealnej autokracyi, której przedstawicielem uważasz siebie, lecz byłeś tylko wargami biurokracyi, zazdrosnej o swą wszechwładzę. Ona cała, poczynając od komitetu ministrów, a kończąc na ostatnim podoficerze gminnej policyi, widzi w samodzielności społeczeństwa groźne dla siebie niebezpieczeństwo i nienawidzi jej; ona powstrzymuje autokratycznego monarchę od łączności z narodem i chce go mieć tylko przedstawicielem władzy, występującym przed publicznością w wyjątkowych wypadkach. Przemówienie twoje raz jeszcze dowiodło, że wszelka legalna próba zwrócenia oczu carskich na krzyczącą nędzę narodu będzie zawsze szorstko odtrącona. Społeczeństwo usilnie i ofiarnie pracuje nad poprawą bytu narodowego, nad usunięciem źródeł cierpienia i goryczy. Ono się spodziewało, że nastanie era prawdy, sprawiedliwości i swobody słowa, nawet przy zachowaniu zasadniczych podstaw państwowego ustroju, a zamiast tego doznało od ciebie takiego rozczarowania. Chciej mi wierzyć, że twoje przemówienie przygnębiło nawet najbardziej „dobrze myślących“. Ono zgasiło blask, którym naród otoczył twą postać i znikła twoja popularność. Ale zresztą nie idzie o tę popularność. Jeśli autokracya słowem i czynem w jedno się łączy z biurokracyą; jeśli rządzić chce za pomocą policyi, tępiąc wszelką jawność, to sama sobie grób kopie, bo wcześniej, czy później usunie ją żywotna siła narodu. Swojem przemówieniem sam nasunąłeś społeczeństwu myśl, że są kwestye, których jawne i publiczne rozpatrywanie zagraża upadkiem autokracyi. Wyzwałeś społeczeństwo, kazałeś mu wybierać między postępem a autokracyą. Niezawodnie, twoje słowa zwiększą gorliwość tych, którzy samowładztwo mają tylko za środek uciskania narodowej samodzielności, prawa, swobody słowa i sprawiedliwości. W zachwyt wprawiłeś tych, którzy gotowi służyć każdemu gwałtowi. Ale zawiodłeś całe społeczeństwo, dążące do pokojowego postępu. Gdzież się jego siły obrócą? Jak się od zniszczenia uchronią? Jaki będzie skutek twoich słów? Tryumfujący nie zastanawiają się nad tem, lecz rychło się przekonają o swej niemocy i nicości. Siły społeczne, odtrącone przez ciebie, ze zdwojoną siłą rzucą się do walki o wolność i prawa, a znajdą się i tacy, dla których dobre będzie wszystko, co da się użyć przeciw znienawidzonym stosunkom. Sam-eś rozpętał tę wojnę — niedługo będziesz czekał na nią!“

Czy rzeczywiście tak brzmi ten list hrabiego Tołstoja, nie wiemy. Tak go podają niemieckie dzienniki.

P. Conrad, członek niemieckiego centrum, zaprojektował w sejmie pruskim podczas rozprawy nad budżetem szkolnym i wyznaniowym, aby na Szlązku zaprowadzono polską naukę religii. Minister Bosse odparł krótko, że rząd nie widzi potrzeby odstępować od swych „silnych zasad“. Wówczas inny członek centrum oświadczył w imieniu swego stronnictwa, że ono nigdy nie przestanie bronić słusznych życzeń ludności polskiej, a w końcu dodał, że polityka niesprawiedliwości wydobywa z ukrycia wszystkie obronne siły Polaków i daje rezultaty właśnie takie, jakich rząd pragnie uniknąć. Mamelucy Bismarka, liberałowie i junkrowie zaczęli sykać i tak się ten epizod skończył.

Pozostała tylko pamięć o tych „silnych zasadach“, na które powołał się minister Bosse. W niewłaściwej chwili wymówił on te wyrazy, bo właśnie teraz prasa berlińska, rozgniewana na ministra spraw wewnętrznych von Köllera za jego pogardliwe odezwanie się o niemieckiem dziennikarstwie, szeroko się rozwodzi o niektórych „silnych zasadach“ panów ministrów pruskich. Robi ona formalną hecę, która i dla nas jest dość ciekawa, więc podajemy jej powód, a zarazem i te wspomnienia, które ona przywiodła nam na pamięć.

Powód jest taki. W lipskim socyalistycznym dzienniku wydrukowano przed kilkunastu dniami list junkra i członka Związku rolniczego von-der-Gröbena do wodza junkrów barona Manteuffla. List był poufny i zawierał prośbę, aby baron zalecił ministrowi v. Köllerowi poprzeć kandydaturę agraryusza w pewnym okręgu wyborczym w Prusach Wschodnich i nakazać naczelnemu prezesowi tej prowincyi hr. Stolbergowi, aby sam nie kandydował. Nadto list zawierał nieprzyzwoite wyrazy o Stolbergu i kilka zdań takich, z których można przypuszczać, że v. Köller przyjął pewne zobowiązania w obec agrarczyków i z ich łaski został ministrem. Ogłoszenie tego pisma w socyalistycznym dzienniku sprawiło rozruch. Köller był skompromitowany jakimiś konszachtami ze Związkiem agrarnym, ale Manteuffel oświadczył, iż ów list przepadł mu z kieszeni w garderobie parlamentu, więc powiedziano, że była tu jakaś kradzież w dobranem towarzystwie panów deputowanych i że zatem trzeba zatuszować ten skandal. Von-der-Gröben poleciał do Królewca i uniżenie przeprosił hr. Stolberga za nieprzyzwoite o nim słowa, Köller nie wmięszał się do akcyi wyborczej w owym okręgu wschodnio-pruskim, gdzie też w skutek tego agraryusz Borke otrzymał tylko 98 głosów, socyalista Ebhard 1000, a Stolberg 11 tysięcy — i tak się sprawa skończyła. Ale w jaki tydzień potem zażądał w sejmie głosu socyalista Schönlank, redaktor owego lipskiego dziennika, w którym wydrukowano list von-der-Gröbena. Junkrowie zerwali się jak oparzeni i gremialnie wyszli z sali, gdy zaś do niej wrócili po mowie Schönlanka, powitano ich wesołym śmiechem, czem oni rozdrażnieni rzucili kilka wykrzykników o złodziejstwach socyalistycznych. Było to dla Schönlanka wskazówką, że junkrowie uważają go za złodzieja. Procesować się z nimi nie mógł, więc się zemścił roztrąbieniem pogrzebanej już historyi z tym listem w niezliczonych socyalistycznych pisemkach. Rozdrażniło to v. Köllera do takiego stopnia, że na jednem z następnych posiedzeń sejmowych, bez żadnej potrzeby, odezwał się pogardliwie o całej prasie, a wtedy ona rzuciła się na niego, rozwałkowała jego konszachty z agraryuszami, wynicowała jego charakter, wiedzę, zdolności i wszystko to podsumowawszy, rzekła, iż tak lichego ministra, faworyta junkrów, Prusy jeszcze nie miały. Oczywiście, cesarz, któremu agrarczycy robią dużo przykrości, nie może pochwalić v. Köllerowi jego z nimi pokątnych stosunków, więc jego stanowisko także i z góry bardzo się zachwiało. O tem wszystkiem teraz aż huczy w Berlinie.

Dzienniki agrarczyków, ratując v. Köllera, wołają w niebogłosy, że to po prostu niesłychana rzecz, żeby porządni ludzie korzystali ze złodziejstwa, to jest z publikacyi listu, który Manteufflowi przepadł w garderobie parlamentu.

Otóż przypominamy sobie, że w Prusach nie jest to rzecz tak bardzo niesłychana. Tak naprzykład, osobisty przyjaciel cesarza Wilhelma I i radzca tajny Stieber opowiada w swych pamiętnikach, że za panowania Fryderyka Wilhelma IV, a więc w czasach wojny krymskiej, prezes ministeryum pruskiego baron Manteuffel płacił stałą pensyę niejakiemu Tichenowi, który kilkanaście lat przesiedział w kryminale, a sławny był jako szpieg. Tichena obowiązkiem było wykradać poufną korespondencyą króla i kopie dostarczać ministrowi. Tichen zaprzyjaźnił się z kamerdynerem przybocznego jenerała króla Fryderyka Wilhelma IV, panem Gerlachem i z biurka jego dorobionym kluczem wydobywał listy różnych monarchów do króla. Sporządzone kopie oddawał prezesowi ministrów. Ale kiedy zaczęła się wojna krymska i listy Mikołaja I do króla przychodziły prawie codzień, Tichen wszedł jeszcze w stosunki z poselstwem francuskiem i oddawał mu kopie owych listów, zawierające szczere opisy rozkładu wojsk rosyjskich, siłę jednych fortów, a słabość innych w Sebastopolu, zamiary sztabu głównego i t. d. O wszystkiem tem natychmiast wiedział Napoleon III i odpowiednio postępował. Stieber zapewnia, że Francuzom i Anglikom nie poszłoby w Krymie tak łatwo, gdyby nie te szpiegowskie usługi Tichena. Wówczas czasy były pod względem politycznym bardzo ciekawe, król pruski odbierał mnóstwo listów, które oddawał do przechowania Gerlachowi, albo Nieburowi, a zresztą nikomu o nich nie mówił. Tichen nie mógł sam podołać, więc minister Manteuffel dał mu pomocnika, niejakiego Lindenberga. Ale wkrótce potem służba Gerlacha złapała obu szpiegów nad otwartem biurkiem i Tichen poszedł na 10 lat do kryminału, Lindenberg na kilka miesięcy, a Manteuffel jak był, tak pozostał ministrem, bo potrafił rzucić cień podejrzenia na księcia Wilhelma, późniejszego króla i cesarza.

Nie jest to wypadek odosobniony. Tajny radzca Wagener w pamiętnikach swych, które po jego śmierci wyszły w Anglii, pisze, że raz Bismark przed nim się skarżył na trudności jakie miewa z królem i sztabem głównym. „Z rana — mówił — otrzymuję od króla depeszę z pewnem żądaniem, w południe sztab główny żąda wręcz czego innego, a w parę godzin potem jeneralny adjutant królewski przynosi rozkaz jeszcze inny. I tak ciągle. W obec tego odpowiedzialny minister musi dołożyć wszelkich starań, aby wiedział, jakie też są listy i depesze, które król otrzymuje.“ Wagener dodaje od siebie: „Niestety, znaleźli się ludzie, którzy zdołali niepojętym dla mnie sposobem wykradać królowi jego prywatną korespondencyą.“

Ale ta metoda praktykowana była i później. Podczas kulturkampfu zrobiono pewnego razu rewizyę u ks. kanonika Koźmiana w Poznaniu, lecz nic nie znaleziono. Księdzu przepadł wówczas list Windhorsta i nikt się nie przyznał do kradzieży. Wkrótce jednak potem jeden z najbliższych organów Bismarka *Gazeta Kolońska* cały ten list wydrukowała na dowód związków centrum katolickiego z „wrogami państwa“ Polakami. Widocznie więc kradzież listu była niejako oficyalna. Centrum zażądało w sejmie zarządzenia śledztwa, lecz minister spraw wewnętrznych Eulenburg wręcz odmówił. „Rząd nie ma najmniejszego interesu w poszukiwaniu sprawcy tej niedyskrecyi i bynajmniej nie myśli oddawać go pod sąd“ — rzekł minister. Naturalnie, nie mogło być inaczej, skoro sprawcą tej „niedyskrecyi“ był sam kanclerz Bismark.

Więc posługiwanie się takiemi niedyskrecyami bynajmniej nie jest „niesłychaną rzeczą“ w Berlinie, jak teraz utrzymują junkrowie. Znana afera mistrza ceremonii Kotzego i ciągłe publikacye tajnych dokumentów w socyalistycznym *Vorwärtsie* dowodzą raczej, że owe niedyskrecye stały się systemem, który pierwotnie służył tylko ministrom, a dziś wszystkim amatorom skandalu. To jest jedyna różnica, która nie uprawnia junkrów do popisywania się szlachetnem oburzeniem.

Po pogrzebie.

Piszą nam z Wiednia 26 lutego.

Dzisiejszy smutny obrządek złożenia zwłok sp. arcyksięcia Albrechta w krypcie kościoła OO. Kapucynów, tego sławnego mauzoleum domu habsburskiego, uroczystą okazałością przewyższył wszystkie inne dawniejsze obchody tego rodzaju. Toć pogrzebu żadnego z cesarzy nie uczcił swą obecnością obcy cesarz w gronie tak wybitnych i licznych reprezentantów wszystkich mocarstw. Car Aleksander III niewątpliwie zajmował bardzo poważne stanowisko w rzędzie monarchów, jednakże zwłok jego do grobu nie odprowadzał tak świetny orszak. Niezawodnie w znacznej części ten okazały udział w pogrzebie śp. Albrechta tłomaczy się jego wielką sławą wojenną, szlachetnym charakterem i wysokiem stanowiskiem, jakie dostojny nieboszczyk zajmował na dworze tutejszym. Ale też niewątpliwie w równie znacznej części te nadzwyczajne hołdy, składane dziś zwłokom sp. Albrechta, były hołdem dla Cesarza Franciszka Józefa. Monarcha ten, w młodym wieku, w najtrudniejszej chwili powołany nagle na tron, w ciągu niemal 50-letnich swych rządów stałością w nieszczęściu, zawsze mądrością, umiarkowaniem, niepospolitymi przymiotami umysłu i serca, umiał sobie zjednać powszechny szacunek i zaufanie jakiem w równej mierze nie cieszy się dziś żaden inny władzca.

Ta całkiem wyjątkowa i najchlubniejsza pozycya Cesarza i Króla Franciszka Józefa dostąpiła i dziś najwyraźniejszego uznania ze strony jego sprzymierzeńców i wszystkich innych dworów. Tak ten smutny obrządek dzisiejszy stał się równocześnie najświetniejszą owacyą dla pamięci śp. arcyksięcia Albrechta, dla wojsk austryacko-węgierskich, których on był główną „ozdobą i dumą“, dla osoby Cesarza i Króla Franciszka Józefa, jakoteż dla państwa, które pod jego roztropnem kierownictwem z upadku, grożącego katastrofą, podniosło się do rzeczywistej potęgi, jakiej przedtem nie posiadało. Monarsze, który miłością i ufnością umiał sobie tak bardzo zjednać szczere, gorące, ale harde serca Polaków, tego ogromnego znaczenia i wpływu możemy winszować, nie narażając się na zarzut pochlebstwa.

Korespondencye.

Wiedeń 26 lutego.

Krach na giełdzie.

Nie ma obecnie na giełdzie wiedeńskiej i budapeszteńskiej osoby bardziej znienawidzonej i przeklinanej od dyrektora węgierskiego zakładu kredytowego Kornfelda. On to bowiem tylko — zdaniem spekulantów, — wywołał te klęski dni ostatnich, które w kalendarzu giełdowym na długo czarno podkreślone będą. Gdzieindziej zrozpaczeni spekulanci winowajców szukać nie umieją, ani nie chcą i nie zadają sobie pytania: czy też przypadkiem nie wywołała tej katastrofy szalona gra, nie zważająca ani na wartość akcyi, ani na sytuacyę handlu i przemysłu, ani na rozpaczliwe położenie rolnictwa? czy może wyczerpanie środków uwiedzionych przez ajentów giełd wych spekulantów, nie mogących płacić dalszych zaliczek na niemożliwą zwyżkę i zmuszonych likwidować ze stratami coraz większemi? czy może wreszcie zawód doznany skutkiem zawarcia układu rządu z grupą Rotszyldowską o 4 procentową emissyę, która nie przysporzy — jak tego spekulanci pragnęli — odrazu bankom kilku milionów zysku? Nie, takich pytań nikt sobie nie zadaje. Winien tylko Kornfeld. On przecież jako dyrektor banku wiedział na kilka tygodni naprzód jaki bilans ogłosić mu wypadnie. Jego rzeczą zatem było, rozumują w kołach giełdowych, przygotować opinię na ten smutny fakt, że zakład kredytowy węgierski płacić będzie nie 24 złr. dywidendy, jak za rok 1893, ale tylko 22 złr. A jednak on milczał, ani jednem słówkiem nie zdradził naprzód jaki będzie bilans, a ogłosił go rozmyślnie w sobotę tj. w ostatnim dniu tygodnia, a na 4 dni przed końcem miesiąca. W niedzielę nie ma urzędowych kursów, jest tylko handel prywatny, w którym wielcy finansiści udziału nie biorą. Dyrektor Kornfeld wiedział o tem bardzo dobrze, to też ogłaszając w dzień tak niefortunny niepomyślny bilans swego banku, walkę o kursa oddał w ręce najsłabszych żywiołów.

Na pozór rozumowanie to wydaje się trafne. W rzeczy samej bowiem w sobotę wieczorem w Café Donau na Schottenringu naprzeciw giełdy tutejsi kulissyerzy sprzedawali węgierskie akcye kredytowe po 488 do 466

---

28)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę.*

(Dokończenie).

Zdzisław miał minę nieco zdziwioną; czuł, że się gotuje ważna rozprawa, ale o czem, po co i na co? nie mógł się domyśleć.

— Tola Czarnolińska wyjeżdża — rzekł Edmund, zatrzymując się nagle i zatapiając spojrzenie prosto w ciemne źrenice Zdzisława.

Ten zerwał się z miejsca, poczerwieniał, a potem pobladł lekko.

— Gdzie wyjeżdża? — zdołał zaledwie wyjąknąć, mięszając się pod coraz to przenikliwszym wzrokiem szwagra.

— Nie wiem, gdziekolwiek... wyjeżdża bo... nie chce tu już dłużej pozostać — czy ty... ty dopiero z moich ust dowiadujesz się o tem? czy nie mógłbyś mi nic powiedzieć o powodach tego wyjazdu?

— Ja? dlaczego ja miałbym coś o tem wiedzieć, dlaczego pytasz się o to takim tonem?

Głos Zdzisława niepewny był i oczy jego błądziły po puszystym dywanie uciekając przed oczyma Edmunda — dla nabrania fantazyi sięgnął po papierosa i chciał go zapalić, ale Edmund powstrzymał go, ujmując nagle jego rękę w żelazny uścisk.

— Słuchaj Zdzisławie — zaczął mówić bardzo cicho, ale tak powoli, że każde słowo rozbrzmiewało wyraźnie wśród ścian gabinetu — jeżeli jest dla ciebie na świecie coś świętego, coś, co kochasz, co umiesz czcić jeszcze, to w imię tego zaklinam cię, abyś mi dziś powiedział prawdę. Jakie uczucia łączą ciebie z Tolą? co wiesz o niej, o jej sercu? Zapomnij, że jestem bratem Maryi; jestem tylko człowiekiem, którego więcej niż życie zawisło od twojej szczerości.

Zdzisław pobladł więcej jeszcze — różnorodne uczucia zdawały się grać w wyrazie jego twarzy, rozmaite słowa cisnęły mu się na usta.

— Toli ze mną nie łączy dziś już żadne uczucie — odparł nareszcie głosem pewnym, podnosząc głowę — niegdyś byłem prawie jej narzeczonym i kochanym przez nią jeszcze więcej, aniżeli ją sam kochałem, dziś jestem jej obojętniejszy niż ta garść śniegu, rozpływająca się w promieniu słońca, — co się w mojem sercu dzieje, z tego nie mam obowiązku spowiadać się nikomu, a tem mniej tobie, bratu Maryi.

Głęboka cisza zaległa gabinet, od okna tylko dolatywało lekkie brzęczenie muchy, budzącej się z zimowego uśpienia.

Nareszcie piers Edmunda podniosła się długim, głośnym oddechem, podobnym bardzo do westchnienia niezmiernej ulgi.

— Dziękuję ci za szczerość — rzekł, puszczając rękę Zdzisława. Zostawiam cię, już dość powiedzieliśmy sobie dzisiaj.

Zniknął po za ciemną portyerą — Zdzisław pozostał sam, ale z nieokreślonem poczuciem zadowolnienia, jakie daje nam bezwiedne choćby spełnienie szlachetnego czynu. Przyznanie się po raz pierwszy w życiu do porażki, kosztowało bardzo wiele tego donżuana — ale w tej chwili nie żałował swej szczerości i nie czuł się sam przed sobą upokorzony.

XXII.

Marcinek otworzył drzwi od salonu i mrugnąwszy na Edzia, wywołał go do jakiegoś czekającego interesanta. Tola i Edmund pozostali sami, nie patrzący na siebie, zmięszani tak, że przez chwilę nadaremnie usiłowali przemówić, rzucić choć jedno słowo w tę ciszę, która im obojgu wydawała się nadto wymowną.

— Pani wyjeżdża? — zagadnął nagle Edmund.

Twarz Toli spłonęła szkarłatem.

— Skąd pan wie? — szepnęła niewyraźnie.

— Mniejsza o to, ale dlaczego, skąd, jakim sposobem pani przyszła myśl ekspatryowania się?

Tola uśmiechnęła się trochę smutno.

— Nie ekspatryuję się wcale, niech mi pan wierzy; dla mnie wieś, choćby w najcichszym zakątku, nie jest wygnaniem; tutaj raczej czuję się zaszczepiona na obcym gruncie. Życie, jakie od paru lat prowadzę, nuży mnie; nie umiem się oprzeć jego prądowi, ale mi nie dobrze w tym wirze, w jaki mię porywa.

W głosie Toli rzeczywiście drgało znużenie — przejścia ostatnich dni i postanowienie na jakie się w końcu zdobyła, kosztowało ją tak wiele, że teraz czuła się prawie złamana tą walką jaką stoczyła sama z sobą, ze swemi przyzwyczajeniami do dotychczasowego życia, z żalem za tem wszystkiem co gotowała się porzucić, z czem wiązało się największe jej cierpienie, ale i jedyne szczęście zarazem.

Edmund wpatrywał się w jej delikatne rysy, które wypadki ostatnich dni powlokły bladością, ale równocześnie wypogodziły odblaskiem słodyczy i powagi płynącej z głębi serca, ukojonego już w części szlachetnem postanowieniem. Już tak dawno nie widział jej w prostym, codziennym stroju, wśród czterech ścian własnego domu. W tej chwili wydawało mu się grzechem śmiertelnym, że mógł ją kiedyś posądzić o kokieteryę, płochość, udawanie.

— I nie powie mi pani, co przeważyło szalę jej postanowienia?

Przechylił się, aby jej spojrzeć prosto w oczy, ale ona unikając tego, odwróciła głowę ku oknu.

— Zdaje mi się, że tak lepiej będzie — rzekła z prostotą.

— Widzi pan — dodała po chwili, wskazując promień słońca, który przeniknąwszy mgliste obłoki padł właśnie na koszyk z kwiatami; słońce już się zbudziło i powołuje całą ziemię do roboty; we mnie zbudziła się także chęć działania czegoś pożytecznego, czegobym się przed tem słońcem nie potrzebowała wstydzić, tak jak się wstydzę tylu przetańczonych nocy i dni przepróżnowanych.

Mówiła z taką szczerością i powagą, że niepodobna jej było posądzić o chęć pozowania, zwrócenia na siebie uwagi lub o mimowolną choćby przesadę. Nie była to już ta sama piękna panna, zdobywająca sobie hołdy salonowców zagadkowym półuśmiechem; — rzucająca w rozmowie frazesy ładnie lub dowcipnie brzmiące, ale przedstawiające ją nieraz gorszą, niż była w istocie, więcej lekkomyślną, zajętą sobą tylko i swem powodzeniem w świecie. Wszystko to, co nie było gruntem jej natury, pozostawiła Tola po za sobą, w gwarnych salonach, które opuściła już na zawsze; do nowego życia szła uzbrojona w najlepsze chęci, i szczerość jej zamiarów malowała się w słowach, w spojrzeniu, w całej postaci.

Im dłużej Edmund patrzył na nią, tem bardziej ogarniał go żal i wstyd, że mógł tę ukochaną swoją, zdolną tak poważnie myśleć i dzielnie brać się do życia, potępić i odtrącić od siebie dla marnej plotki, wysnutej przez kilka pustych rozpróżniaczonych głów, popartej paru błahemi okolicznościami, których zbieg w tej chwili wydawał mu się przypadkowym i nic nie znaczącym.

Szczęście było już tak blisko niego, nie wyciągnął po nie ręki, może tymczasem odbiegło go już na zawsze.

— I czy wolno jeszcze zapytać, jaka to będzie praca? co pani tam na wsi za poradą słońca robić zamierza?

— Wszystko, co się da, wszak pan zna wieś i nasz lud, wie pan, że przy dobrej woli znajdę tam dość zajęcia i dla rąk i dla głowy i dla serca.

— O, nie! dla serca nie dosyć! dla kobiety nie jest dość kochać wszystkich ludzi, jej trzeba kochać kogoś jednego i pozwolić kochać siebie nad wszystko, nad świat cały! Niech pani mnie da w życiu swojem zająć to miejsce, które nie powinno pozostać niezajęte, niech pani pozwoli, żebyśmy razem walczyli ze wszystkiemi płytkiemi, ziemi prądami, które nas w życiu unoszą. Ja dotąd sam nie umiałem im się opierać, ale zobaczy pani, jaki będę silny, gdy się pani wesprze na mojem ramieniu, bo ja panią kocham!

Pochwycił obie jej ręce i okrywając je pocałunkami, zapatrzony w jej duże, jaśniejące jak gwiazdy oczy, powtarzał wciąż prawie bezwiednie swoje ostatnie słowa, ten najsilniejszy, najbardziej rozstrzygający argument: kocham panią.

Tola słuchała go, uniesiona dźwiękiem tych dwóch słów w jakiś raj szczęścia, w który wpatrywała się szeroko rozwartemi oczyma, lękając się prawie, że to tylko sen cudowny, ale mogący się rozwiać za chwilę.

Więc on ją naprawdę kochał! naprawdę mieli już przejść przez życie razem, ręka w rękę, nierozdzieleni już nigdy żadnem nieporozumieniem, czytający sobie wzajem w duszy i sercu, jak w otwartej książce.

I ona miała już prawo powiedzieć mu, jak kochała go ze wszystkich sił swoich, od dawna już i na całe życie — o co za szczęście!

Choć wyznanie to i w tej chwili nawet z nieśmiałością wybiega na jej usta, choć słów jej brak, ale jemu tych słów tak mało potrzeba — odgaduje je; przeczuwa po łzach błyszczących w jej oczach, po słodkiej powolności, z jaką daje się objąć ramieniem i przytulić do serca, że z tych różowych usteczek padnie mu wyrok nie śmierci, lecz życia.

* * *

We dwa miesiące potem odbył się ślub Toli i państwo Dziewońscy zniknęli na długo, może na zawsze z widowni wielkiego świata. Zapomniano o nich; przestano wymieniać ich imiona w potocznych pogadankach, na balach i five o'clockach. Za to imiona te obijały się częstem echem wśród niskich ścian wieśniaczych, w rodzinnym majątku Edmunda; wciskały się wszędzie, gdzie się gromadzili ludzie dobrej woli, pracujący nie dla siebie tylko i nie dla chwili obecnej — może też, choć kronika karnawałowa nie ma o nich nic do zapisania, historya przyszłych pokoleń, zwłasz za historya biednych, ciemnych i słabych, wspomni ich.

Edzio ożenił się już także, jest bardzo szczęśliwy i sam się dziwi, że Czarnolińskiemu tak dobrze być może na skromnej posadzie rządzcy.

Żoro poślubiwszy pannę Sydzię, wyjechał z nią do Paryża.

Tak więc następna zima zastanie wielkie zmiany i szczerby w szeregach towarzystwa, — nic to; w miejsce dawnych znajdą się nowi ochotnicy, których życie pełne głośnych zabaw i śmiechów, pokrywających ciche znudzenia i smutki, porwie i uniesie znowu w swoim hałaśliwym a płytkim prądzie. Czy prąd ten kiedykolwiek uciszy się i pogłębi?

KONIEC.

nawet po tej cenie nie mogli znaleść nabywców. W niedzielę popłoch spekulantów był jeszcze większy i dalsze robił spustoszenia. Ale czyż nie można było przewidzieć takiego zakończenia szaleństw giełdowych, popełnianych od 1¹. roku. Czyż mogła zmniejszona o 2 zł. dywidenda jednego tylko banku sprowadzić taką derutę, gdyby ona nie była ugruntowaną w całem położeniu targu? Wiadomo przecież, że rolnik nie może opłacać nawet robocizny z cen dziś za zboże otrzymywanych, fabryki cukru założone milionowymi kapitałami bankrutują, wywóz fabrykatów upada, nasz bilans handlowy wykazuje straty nadzwyczajne, więc tylko banki i akcyjne towarzystwa przemysłowe nie miałyby tego odczuwać? Od razu dowiedziano się na giełdzie, że dywidenda węgierskiego zakładu o 2 zł. mniejsza jest skutkiem smutnego stanu przemyłu i rolnictwa, i gdy przypomniano sobie, że los kapitału związany jest nierozerwalnie z losem posiadacza ziemi, dopiero przejrzano, że zbyt rażącą jest dysproporcya między kursem akcyi oprocentowujących się zyskiem na cukrze i zbożu a cenami tych produktów! A powiedział to dopiero p. Kornfeld motywując zmniejszenie dywidendy banku ogólną sytuacyą na targu towarowym.

O małych spekulantach i ajentach giełdowych, o tej trzodzie graczy, idącej bezmyślnie za pustemi hasłami dnia, nie mówi się. Kto wejrzał kiedy w mechanikę giełdy i wie, jak się tu spekuluje, ten tych małych kiełbików giełdowych z pewnością podejrzywać nie będzie o zbytek rozumu w osądzeniu sytuacyi. Taki kulisyer, co krzyczy: „Sprzedaję Alpine Montan“ — a na naiwne zapytanie bezstronnego świadka: „Dlaczego pan sprzedaje?“ — odpowiada jeszcze naiwniej: „Bo rząd chce te akcye (!) upaństwowić“, taki kulisyer, który nie wie nawet, co to za przedsiębiorstwo, którego akcye rzuca na targ, a który spekuluje w nich, jakby grał „w parzyste, czy nieparzyste“, oczywiście nie pojmuje, że stoi nad przepaścią. Zapatrzony on jest w wyższe potęgi, w grubszych spekulantów. zwących się dajmy na to: X, Y i Z. Jeśli X sprzedaje, to i on sprzedawać będzie — a cała mądrość jego w tem tylko leży, aby dowiedzieć się, czy X sprzedaje, czy kupuje. O tych więc iksów i ypsylonów idzie. Ci zaś z pewnością nie potrzebują dopiero z bilansów bankowych dowiadywać się, że handel monarchii ucierpiał, że ceny zboża są niemożliwie niskie i że kursa papierów sztucznie wyśrubowane nie mają racyi bytu. Dla takich grubych ryb ogłoszenie niepomyślnego bilansu jednego banku jest tylko punktem wyjścia do nowego obłowienia się. Od dwóch tygodni już czuć było w powietrzu, że zanosi się na burzę. Sprzedawano w Wiedniu tysiące akcyi kredytowych i Bodencreditów, a motywowano to frazesem o „wrogiem usposobieniu rządów“ węgierskiego i austryackiego dla giełdy. W to „wrogie usposobienie“ nikt oczywiście nie wierzył, a już najmniej ci, co pozornie motywowali niem swoje sprzedaże. Niewypłacalność fabryki cukru w Chropinie i drugiej w Doloplasie, uchwały rady giełdowej w Budapeszcie, bardzo ostro zwracające się przeciw wybrykom spekulacyi mowy ministra węgierskiego, które tę uchwałę wywołały, wyroki trybunału najwyższego w Wiedniu nie uznające zobowiązań ze spekulacyi za nadające się do skargi sądowej — wszystko złożyło się na to, że grunt pod nogami aranżerów haussy chwiać się zaczął.

Gdyby nie bardzo wielkie straty berlińskiej spekulacyi zniżkowej, t. zw. kontrminy, która nie mogąc dotrzymać placu wiedeńskiej klice, skupywać musiała w czasach ostatnich po bardzo drogiej cenie papiery, aby się uchronić od kosztów dalszych jeszcze możliwych zwyżek, deruta byłaby dawno już nastąpiła. Kursa trzymały się jednak dlatego, że wycieńczony spekulant obcy chcąc niechcąc podtrzymywał je. Dziś jeszcze giełda berlińska i inne niemieckie kupują nasze papiery, wszelako nie dlatego, że dzisiejszy kurs ich odpowiada ich rachubom, ale dlatego, że muszą pokrywać swe zobowiązania zniżkowe. Te zakupna niemieckich giełd osłabiły znacznie rozmiary ostatniego krachu, a jak wielkie są te zakupna widać z tego, że niemieckie monety złote mimo deruty w Wiedniu nie tylko nie podniosły się w cenie, ale nawet spadły. Za zakupywane przez spekulantów niemieckich akcye napływają bowiem do nas marki, a napływ ich większy od potrzeb handlu towarowego sprowadza zniżkę ich kursu.

Jak zawsze, tak i tym razem, pessymizm raz obudzony zachodzi znów za daleko. Prorokują więc, że kurs austryackich kredytów spaść musi na 340, węgierskich na 420, Bodencreditów na 480 i t. d. Tak czarne proroctwa nie mają żadnej podstawy. Banki te bardzo dobrze ufundowane płacą tylko taką dywidendę, na jaką pozwalają stosunki. Austryacki zakład kredytowy ogłosił bilans wedle którego po zasileniu nadzwyczajnego funduszu rezerwowego kwotą 250,000 i przekazaniu 65,000 na rachunek roku bieżącego zapłaci dywidendę 19 złr. Kurs dzisiejszy kredytów wynoszący wraz z kuponem 392 a bez kuponu t. j. po odtrąceniu dywidendy 373, odpowiada zatem oprocentowaniu 5%, nie jest więc niemożliwym. Akcya bankowa tak pewna, jak austryackie kredyty, dająca dochodu o jeden procent więcej niż renta, jest nawet bardzo dobrym papierem lokacyjnym i w czasach ogólnej pomyślności liczyć nawet może na to, że wartość jej się podniesie. Niemożliwą jest jednak wśród ogólnego zastoju spekulacya na dalszą zwyżkę w takim papierze, a także w innych.

Straty giełdy budapeszteńskiej i wiedeńskiej w ostatnich trzech dniach obliczają na 20—30 milionów. Mnie się zdaje, że cyfra ta jest raczej za wysoką, niż za niską. Może tym razem nauka nie pójdzie w las i kapitał, otrzymawszy tak poważną przestrogę, zamiast zwracać się na manowce spekulacyjne, zasili stare przedsiębiorstwa, potrzebujące tańszego kredytu i nowe powoła do życia. W takim razie krach ten ostatni stałby się prawdziwem zbawieniem dla wielu gałęzi uczciwej pracy leżących odłogiem.

Do takiej pracy otwiera się właśnie nowy pomyślniejszy okres. Ceny zboża powoli ustalają się i to w kierunku zwyżkowym, eksport ożywia się, choć niestety nie w zbożu jeszcze, ale w każdym razie przynajmniej import obcego zboża słabnie. Jeśli przesilenie cukrowe minie bez poważnych następstw — a jak się zdaje, dalszych bankructw wielkich fabryk już nie będzie i ceny towaru dzięki agitacyi w Niemczech i Austro-Węgrzech pójdą w górę po ograniczeniu produkcyi, a podwyższeniu wywozu — to rok 1895 będzie o wiele pomyślniejszy od zeszłego, tak smutnego.

W styczniu handel zagraniczny monarchii obejmował towary wartości 113,800.000 zł., a mianowicie w wywozie 56,100.000 zł., a w dowozie 57,700.000 zł. Bilans handlowy jest więc niekorzystny, bo zamyka się nadwyżką importu wynoszącą 1,600.000 zł. W styczniu jednak nigdy wywóz nie jest bardzo wielki, bo w tym miesiącu zboża i innych towarów (drzewa, węgla itd.), spławianych wodą, eksportuje się bardzo mało. Smutnym jest tylko objawem zmniejszenie się wywozu zboża w porównaniu z rokiem 1894 o półtora miliona, którego nie równoważy pocieszający zresztą objaw zmniejszonego równocześnie dowozu.

Za to zwierząt i produktów zwierzęcych wywieziono więcej o 3,400.000 zł., żelaza i wyrobów żelaznych więcej o półtora miliona zł. Powoli tylko i przy natężeniu wszystkich sił państwa w obronie rolnictwa będzie mógł także kapitał o nowych marzyć zyskach. Inne rachuby to zamki na lodzie, które — jak widać — przed nadejściem wiosny toną w wodzie.

Autonomia i biurokratyzm.

III.

Następnie omawia autor krytycznie wewnętrzne urządzenie naszych urzędów autonomicznych. Często dają się słyszeć skargi na urzędników różnych magistratów miejskich. Nie można się jednak temu dziwić, że urzędnicy ci niezupełnie odpowiadają wymaganiom, gdyż władzę przełożoną nad nimi sprawuje nie burmistrz ale rada miejska, a kto ma kilkudziesięciu przełożonych, to tak jakby nie miał żadnego. Warunki służbowe w radach powiatowych są jeszcze gorsze niż w magistratach, gdyż burmistrz urzęduje na miejscu, ma urzędników ciągle koło siebie i może mieć nad nimi pewną kontrolę, kiedy tymczasem wydział powiatowy zbiera się na sesye raz na dwa miesiące, prezes przyjeżdża zdaleka na krótko do biura raz na dwa tygodnie, albo raz na tydzień, a choćby przyjeżdżał kilka razy na tydzień, czyż jest w stanie wszystko poprawić i skontrolować? Prezesem jest zwykle jakiś gospodarz wiejski, zastępcą także gospodarz, albo jakiś staruszek kanonik z okolicy; ich zdanie i opinia mogą być bardzo pożyteczne w różnych sprawach i interesach miejscowych, ale jakże od nich żądać, aby umieli wszystkie paragrafy ustaw administracyjnych na pamięć, znali zawiłe kompetencye władz, rekursów itd.? Bez tego zaś nie potrafi żaden z nich poprawiać referatów sekretarza powiatowego, bez różnych fachowych wiadomości, bez poświęcenia mnóstwa czasu, pracy i mozołu nie potrafi skontrolować rachunków kasyera, lub czynności inżyniera. Każdy prezes rady powiatowej ma swe różne obowiązki i zajęcia zawodowe; musiałby wszystko rzucić, aby się tylko kierownictwu biura powiatowego poświęcić, co jest niepodobieństwem. Póki czynności powiatowe utrzymywały się w pewnych granicach, można było przy poświęceniu i gorliwości obywatelskiej im podołać — dziś, kiedy aktów rocznie jest po kilka tysięcy, a obrót kasowy wynosi kilkadziesiąt tysięcy, czynności te przerastają możność i najgorliwszych i najpracowitszych prezesów, którzy większą część spraw muszą zdawać tylko na personal biurowy. A iluż jest takich, którzy różne akta naprzód *in bianco* podpisują? Zresztą nie trzeba zapominać, że nie prezes, ale obszerniejsze ciało kolegialne ma władzę dyscyplinarną nad urzędnikami, które czasami przez walkę partyjną lub rywalizacye osobiste tolerować będzie nieudolność lub różne uchybienia służbowe urzędnika na przekór prezesowi. W takich warunkach nie może być chyba mowy o „silnej władzy przełożonego“, która występuje dopiero wtedy, kiedy wychodzą na jaw jakieś jaskrawe nadużycia. Tymczasem wszystkie biura i ich urzędnicy potrzebują zawsze silnej władzy przełożonej, jako jedynego środka poprawnego pełnienia czynności służbowych.

Biorąc z drugiej strony pod uwagę podmiotowe warunki służby urzędników autonomicznych powiatowych, uznać trzeba, że one są dla nich niekorzystne. Są gorsze, niż w magistratach miejskich, gdzie przedstawiają się różne widoki awansu, kiedy tymczasem urzędnik powiatowy, jak raz otrzyma posadę, tak zarazem nabywa przekonania, że na niej pozostanie zawsze. Nie ma zatem tego bodźca ambicyi, któryby go popychał do gorliwej służby. Załatwiając sprawy jednogatunkowe, urzędnik powiatowy nawyka mimowoli do pewnych utartych formułek lub szablonu; gdy sprawy są monotonne, gdy urzęduje w małem, odległem miasteczku, horyzont jego myśli powoli się zacieśnia. Nie ma także tych warunków kształcenia się w zawodzie administracyjnym, co urzędnicy rządowi, przechodzący przez najrozmaitsze szczeble i wydziały służby w różnych powiatach, namiestnictwie i ministerstwie. On zawsze pozostaje na tej samej posadzie i w tem samem miejscu. Nie nabiera tych wiadomości, ani wprawy w urzędowaniu, ani doznaje tych pomocy, z których korzysta każdy urzędnik, pracujący pod okiem doświadczonego przełożonego. Jeśli miał najlepsze uzdolnienie na początku swej karyery, z upływem lat stanie się gorszym urzędnikiem, choćby się nawet nie opuszczał.

Brak silnej władzy przełożonego nad sobą ma tu także bardzo ujemne strony, bo nie powstrzymuje od różnych opuszczeń i niedokładności w robocie. Każdy urzędnik administracyjny rządowy, nieodpowiadający najdrobniejszym wymaganiom służby, lub wskazówkom przełożonego, wie o tem, że będzie natychmiast przeniesiony na inną posadę, tymczasem urzędnik powiatowy tego się wcale nie obawia. Za drobne usterki, opieszałość lub nawet większe niedokładności nikt go nie usunie, skoro właściwie jest tylko jeden środek dyscyplinarny, pozbawienie posady, który jako ostateczność może być w razie stwierdzonego nadużycia stosowany. I wtedy jeszcze stosuje się go niechętnie, aby nie pozbawiać człowieka, który długo służył, i jego rodziny, ostatniego kawałka chleba.

Czy w takich warunkach mogą być dobrzy urzędnicy? — Jest nawet dosyć znaczna liczba zdolnych, gorliwych i ze wszech miar wzorowych urzędników. Dziwićby się doprawdy można, że dotychczas tak mało zdarza się nadużyć, większych uchybień lub nieporządków. Świadczy to pięknie o moralnym poziomie społeczeństwa, o duchu gorliwości obywatelskiej, jakim przejęte są nasze instytucye autonomiczne i ich biura, świadczy o tem, że kierownicy tych instytucyi, brak władzy w swych rękach potrafili zastąpić poświęceniem dla interesów publicznych i zwalczyć poniekąd najrozmaitsze trudności.

Nie przeceniajmy jednakowoż nadto tego. Wszak rozbierając zagadnienia organizacyi władz, należy zawsze liczyć tylko na przeciętną naturę ludzką i dbać o praktyczne warunki urządzeń. Rozsądek sam wskazuje, że w takich stosunkach urzędnicy autonomiczni nie mogą dorównywać urzędnikom państwowej administracyi. Urzędnicy nie utrzymani w karbach hierarchicznej subordynacyi, prowadzeni miękko, kierowani ręką niewprawną i nieświadomą rzeczy, idący sami nieraz luzem i niedostatecznie kontrolowani, muszą być z natury rzeczy gorsi od tych, którzy posiadają wszelkie warunki dobrej organizacyi służbowej. Dlatego też, gdyby nasze instytucye autonomiczne postępowały coraz dalej na drodze przeobrażenia się w rodzaj dykasteryi biurowych, gdyby pomnażały zanadto szeregi swych organów służbowych, obaw różnych i niebezpieczeństw musiałoby być coraz więcej. Liczne zastępy urzędników autonomicznych stworzyłyby nowy gatunek biurokracyi. Nie byłaby to nawet biurokracya prawdziwa, ale gorszy jej rodzaj: nieudolny biuralizm. Niebezpieczeństwo byłoby tem większe, że urzędnika autonomicznego za nieudolność ruszyć nadzwyczajnie trudno, a przenieść na inne miejsce niepodobna. Przełożeni dopiero wówczas swą dyscyplinarną władzę ze skutkiem zastósować mogą, kiedy właściwie sędzia śledczy lub prokurator miałby już czasem powód do interweniowania.

W niektórych Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej obowiązuje prawo, że pewne urzędy sprawować można tylko przez ściśle oznaczony przeciąg czasu, po upływie którego tej samej osobie tej samej posady dalej piastować nie wolno, aż dopiero znowu po upływie jakichś kilku lat na ten urząd ponownie dostać się może. Autor nie zachwala tego prawa, owszem uznaje je za szkodliwe, albowiem nietylko stawia urzędników w tem położeniu, że są niepewni jutra, że pozbawia ich środków do życia, ale nadto pozbawia kraj częstokroć dobrych i wypróbowanych pracowników, których nieraz trudno zastąpić. Ale ma to prawo pewną głębszą myśl, aby do spełniania zadań wewnętrznego zarządu powoływać z łona społeczeństwa zawsze świeży element obywatelski, aby na jednem miejscu nie pozostawali zbyt długo ludzie, co się przyzwyczaili już do pewnego sposobu działania i formułki biurowej, przez którą na świat i sprawy publiczne patrzą, słowem, aby w administracyi komunalnej jak najmniej było rutyny, szablonu i biuralizmu. Przykład ten cytuje autor tylko dla zaznaczenia kontrastu z naszymi stosunkami, ponieważ u nas w Galicyi zewsząd słyszy się tylko o stabilizacyi i stabilizowaniu różnych posad i urzędników w dziedzinie autonomii. Omal, że nie słychać, czy ktoś nie zaproponuje stabilizacyi urzędów, które się sprawuje na mocy wyboru reprezentacyi społecznych.

W ogóle zdaniem autora, balast czynności i agend biurowych jest dla naszych reprezentacyi autonomicznych nieznośnym ciężarem, który sprawia, że gorliwość obywatelska, zresztą tak wielka w naszem społeczeństwie, zużywa się sama przez się, wyczerpuje i zniechęca. Na początku ery autonomicznej członkowie wydziałów powiatowych rozbierali między siebie prawie wszystkie sprawy i referaty do załatwienia, później przyjęto jednego lub drugiego kancelistę dla załatwienia drobniejszych rzeczy, ale wszystko co on napisał, prezes lub wiceprezes poprawiał i przerabiał, dzisiaj już wszystkie sprawy załatwiają sami urzędnicy, a prezesowie coraz mniej poprawiają i przerabiają, gdyż nie mogą podołać nawet tym pracom, jakich wymaga kontrola czynności lustratora, inżyniera i kasyera. To też nawet u najgorliwszych i najpracowitszych prezesów widać pewne zniechęcenie, czemu zresztą nie można się dziwić, gdyż czynności ciągle rosną, a cała odpowiedzialność spada na nich, tymczasem nie mają oni nawet cienia tej władzy, jaka potrzebna jest do prowadzenia rządowej machiny.

To samo odnosi się także do osób kierujących najwyższą magistraturą autonomiczną t. j. Wydziałem krajowym. Gdyby główna część zadań Wydziału krajowego polegała na obradach i uchwałach w różnych kwestyach krajowych, na wypracowaniu projektów ustaw i przedłożeń dla Sejmu, albo memoryałów i opinii dla rządu, nie byłoby prawie żadnych trudności. Skoro jednak Wydział krajowy ma rocznie prawie sto tysięcy aktów urzędowych, administracyjnych do załatwienia i kilkaset organów służbowych, skoro rozporządza o wydatkach milionowych i chce koncentrować niejako w swych biurach wszystkie sprawy i czynności autonomiczne — natenczas trudności są niezmierne, bo Wydział krajowy nie ma do tego ani potrzebnych środków władzy, ani odpowiedniej organizacyi. Jest to chyba publiczną tajemnicą, że każdy prawie z ostatnich marszałków krajowych był po pewnym czasie zniechęcony i to nie z powodu stanowiska, zajmowanego w Sejmie, lecz w Wydziale krajowym. A przecież marszałkowie ci nietylko należeli do najniepospolitszych ludzi w kraju, ale byli najgorliwszymi obywatelami, stanowili czoło społeczeństwa i przedstawiali wzory cnót publicznych. Nawet człowiek, tak pełen zapału i z natury swej tak pełen optymizmu, jak Zyblikiewicz, zbyt wcześnie się zniechęcił. Fakta te dość wymownie świadczą i każdemu powinny dać do myślenia. Instytucye dobrze, praktycznie zorganizowane, potrafią prowadzić przeciętni, nawet mierni ludzie, a jeszcze dawać będą pożyteczne rezultaty. Instytucyi ciężko i wadliwie zorganizowanych nie zdołają prowadzić nawet najlepsi i najgorliwsi obywatele i nie zdołają otrzymać ani części tych rezultatów, jakichby spodziewać się mogli według miary mozołu i trudu swych usiłowań.

Przyczyna tych ujemnych zjawisk nie leży w samym rozroście agend instytucyi autonomicznych i idącem w ślad za tem przeobrażaniu się ich w rodzaj dykasteryi biurowych. Ona leży w samych zasadach ich pierwotnej organizacyi, leży przedewszystkiem w wadliwej organizacyi gminy. Dopiero skutkiem wzrostu agend biurowych, skutkiem dążenia do zastępowania i kierowania nieudolnej gminy przez organa wyższe, występują coraz jaskrawiej na wierzch wszystkie ujemne zjawiska, coraz więcej zaczynają się mnożyć sprzeczności i trudności, obawy i niebezpieczeństwa. Choćby zresztą nie było tych obaw i niebezpieczeństw, rezultaty działalności, pomimo coraz większych trudów, pracy, a zwłaszcza kosztów, okażą się coraz mniejsze.

Biurokratyzm ten rozszerzający się coraz bardziej zarówno w wydziałach powiatowych jak i w Wydziale krajowym, oddziaływa także ujemnie na działalność Sejmu. Najważniejszem bowiem zadaniem Wydziału krajowego jest przygotowanie przedłożeń dla Sejmu. Owóż już w ciągu kilku ubiegłych sesyi można było spostrzedz, że tych przedłożeń było mało, a niektóre z nich były za mało gruntownie i wszechstronnie opracowane. Jestto jednak całkiem naturalne, skoro Wydział krajowy zarzucony jest nawałem bieżących spraw biurowych, to nie starczy mu czasu na gruntowne opracowanie różnych przedłożeń. Z tego powodu Sejm, jego komisye i referenci natrafiać muszą na tysiączne trudności. To też praca prawodawcza Sejmu zdaniem autora słabnie z każdym rokiem i ogranicza się przeważnie do uchwalania ustaw o poborze kopytkowego, wyłączenia pewnej gminy lub obszaru dworskiego z jednego okręgu do drugiego, i t. p.

Na zakończenie swych uwag dowodzi autor, że tylko reforma gminna może sprowadzić zwrot na lepsze. Bez niej nie może być postępu ani w administracyi, ani w autonomii. Wszelkie usiłowania nasze będą tylko szarpaniem się i mnożeniem kosztów na darmo, póki nie uporządkuje się samej podstawy, na której opiera się autonomia.

MAŁY FELJETON.

Specyalista a jurysta *)

Najlepszy stan na ziemi tu,
To jest jurysty stan!
„On jeden zawsze wszystko wie,
W zawodzie każdym „pan!“
Na „szefa“ — zawsze wybran on
— To rzeczą oczywistą!
Szeroki, jasny pogląd ma,
— „Gdyż nie jest specyalistą“.

On jeden tylko prawdę zna!!
Spytacie może — skąd!?
Bo: „wiedza nie zaćmiewa go!“
Ma przeto — bystry sąd.
Dlatego też nie myli się
— To rzeczą oczywistą;
Wrodzony jasny pogląd ma,
— „Bo nie jest specyalistą“.

W rolniczych związkach: prawnik—„szef“,
Głos jego wszędzie brzmi,
A spytaj: krowa to czy wół?
Hm!... czy odpowie ci!?
Stadniny więc oddane mu,
— By rasa była czystą,
Szeroki pogląd przecież ma,
— „Bo nie jest specyalistą!“.

Logiczny też wypływa sens,
Że w szkole wodzi rej,
Pedagog nie żenuje go,
A szkoła? — jeszcze mniej!
Jurysta więc nadaje ton,
— To rzeczą oczywistą,
Poglądu — nie ćmi wiedza mu,
— „Gdyż nie specyalistą!“.

W zdrowotnych sprawach znowu „on“
Swój pogląd musi dać,
Hygiena? — to fachowców rzecz!
A on? — jej nie śmie znać.
Kierować zdrowiem bowiem ma,
— Więc rzeczą oczywistą,
Że i w hygienie dla tych spraw
— Nie będzie specyalistą!

Kultury leśne — drzewa stan
Jurysty sądzi wzrok,
Nie wiedząc o leśnictwie nic:
Ma bystry myśli tok.
Wyrębu więc oznacza czas
— Powodzie też uprzedza;
W ocenie nie zachwieje się,
— Gdyż skromna jego wiedza.

Choć inżyniera wiedzę, trud,
Zna jak dziewiczy las!
O dziwo! — przecież... pierwszy „en“
I przy projektach tras.
Trasować kolej! studya — plan!
— Czyż to rzecz specyalisty?
Tu pogląd bystry trzeba mieć;
— „Na gwałt do tras — jurysty!“

Więc wszędzie prezyduje on!
Lecz dziwo! w wojsku? — nie!
Toż łatwo też zrozumieć stąd,
Że z wojskiem naszem „źle“!
Wszak lepiej, gdyby armii wódz
— Mógł także być jurystą.
Ach! — co za pogląd miałby on?!
— „Nie będąc specyalistą!“

Machiny — teatr — kolej — bruk —
Wodociąg — kanał — cła!
Rozstrzyga prawnik, gdyby nic,
Bo pogląd bystry ma.
Z konwersyi — z banku — z akcyi, cud!
— Wytoczy prawdę czystą.
By tu szlachetny poznać ład,
— Też trzeba być jurystą.

Gdy chcesz się w Austryi wyżej wznieść
I „wielkim“ chcesz być zwan,
Natychmiast więc na prawa idź
To najpiękniejszy stan!
Za wiele jednak nie ucz się,
— Wszak rzeczą oczywistą:
„Straciłbyś jasny pogląd swój,
— Gdyż byłbyś specyalistą!“

Edmund Libański.

KRONIKA.

Lwów 28 lutego.

P. Alfred Deyma, dyrektor ruchu kolei państwowych, wyjechał w sprawach urzędowych do Wiednia, skąd 4 marca powróci.

Mianowania. Pierwszym sekretarzem ambasady austryacko-węgierskiej w Londynie mianowany został Tadeusz Bolesta Koziebrodzki.

Ślub. W sobotę o godzinie 11 rano odbył się w Maciejowicach w Królestwie polskiem ślub hrabianki Konstancyi Zamoyskiej, córki śp. Stanisława i Róży z hr. Potockich z ks. Eustachym Sanguszką, marszałkiem krajowym Galicyi. W obrzędzie ślubnym wzięło udział 30 osób z najbliższej rodziny. Księżna marszałkowa na drugi dzień po ślubie zachorowała na lekką influencę, wskutek czego odjazd księstwa do Gumnisk odroczono na kilka dni.

Testament arcyks. Albrechta. Wiedeńskie dzienniki donoszą, że arcyks. Albrecht głównym spadkobiercą swym i dziedzicem fideikomisów mianował arcyks. Fryderyka. Arcyks. Karol Stefan otrzymał dobra żywieckie.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Jarosławiu i Rawie ruskiej rozpisały pierwsza z terminem do końca marca, druga do 10 kwietnia br. konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich.

Mieszkańcy ul. Lelewela, prawie w środku miasta położonej, stanowczo względami świetnego magistratu szczycić się nie mogą. Ulica ta cała zasypana śniegiem, łokciowe sople lodu co chwila odrywające się od gontowych dachów i wyślizgana ścieżka narażają przechodniów co chwila na nieprzyjemne wypadki. Czy nie znalazłaby się na to jaka rada?

Ładne stosunki! Zaledwie przed kilku dniami ukończył się w Paryżu proces Portalisa i wspólników, skazanych za wymuszanie łapówek i inne nieczyste sprawki na karę więzienia, gdy znów zanosi się tam na nowy proces, który wcale nie doda blasku prasie paryskiej. Oto donoszą nam, że na skutek doniesienia kilku wielkich firm handlowych w Paryżu sądy wytoczyły śledztwo o wymuszanie łapówek redaktorowi dziennika *Jour* Laurentowi, redaktorowi *Evenement*, senatorowi Magnierowi i redaktorowi *Radical*'a deputowanemu Henrykowi Maretowi.

Główną trafikę przy ulicy Halickiej otrzymała prowizorycznie pani Łukasiewiczowa, zamieszkała w Wiedniu, właścicielka dóbr ziemskich na Bukowinie, córka poprzedniej właścicielki tej trafiki ś. p. Brzeżanowej, pomimo zabiegów jednego izraelity, który nawet osobiście do Wiednia się udawał, by tę hurtownię na własność otrzymać. Licytacya na tę trafikę odbyła się 16 b. m. Zgłosiło się 18 referentów, 14 chrześcian, a 4 izraelitów.

Nieszczęśliwy wypadek. W medyolańskim teatrze „La Scala“ podczas przedstawienia, tenor pchnął śpiewaczkę panią Adiny ostrym sztyletem, zamiast tępym, którego zwykle na scenie używano i skaleczył ją. Rana na szczęście nie jest groźną. Śpiewaczka mimo silnego bólu ukazała się jeszcze publiczności, która wywoływała ją entuzyastycznie.

Mowa cesarza. Cesarz niemiecki Wilhelm wypowiedział w sobotę na uczcie danej przez członków brandenburskiego sejmiku prowincyonalnego następujące słowa: „Kwestye, które obecnie poruszają umysłami, dotyczą głównie stanu rolniczego. Jak je pojmować należy, wiadomo wam z moich oświadczeń. Spodziewam się z całego serca, że uda mi się dokonać rzeczy, które stale dla was będą pożyteczne; całą siłą do spełnienia tego dzieła się przyłożę. Niemniej jednak stanowczo przestrzegam, aby nie unoszono się przesadną nadzieją i aby nie żądano spełnienia utopij. Żaden stan nie może żądać, aby kosztem innego był forytowany; monarchy zadaniem jest: odważyć interesa wszystkich stanów w ich wzajemnym stosunku i tak je ułożyć, aby ogólny interes ojczyzny nie doznał uszczerbku“.

Szczególna ceremonia odbyła się w tych dniach w pałacu metropolity Michała w Belgradzie. Dwóch wyższych duchownych, archimandrytę Vasa Pelagicza i jeromonacha Sawę Plewicza, złożono w sposób uroczysty z ich godności kapłańskiej. Pierwszy zawinił, ponieważ był „socyalistą“, drugi pisał artykuły antidynastyczne w dziennikach radykalnych. Obu przyprowadzili żandarmi przed metropolitę, u którego zgromadziło się mnóstwo duchownych. Odprawiono rozmaite ceremonie rytualne, poczem orzeczono w sposób uroczysty wyłączenie winnych ze stanu duchownego, a na znak tego metropolita własnoręcznie wielkiemi nożycami kancelaryjnemi obciął im włosy i brody.

Rozruchy wśród Polaków w Chicago. W parafii św. Jadwigi w Chicago powstały między Polakami, niezadowolnionymi z proboszcza ks. Józefa Barzyńskiego, groźne zaburzenia. Dzikość awanturników doszła już do tego, że gwałtem wyłamali drzwi kościoła, przemocą wdarli się na plebanię i chcieli zamordować znajdujących się tam księży. Gdyby nie opieka policyi mury plebanii św. Jadwigi byłyby zbryzgane krwią polskich kapłanów. W niedzielę dnia 3 bm. burzyciele zebrali się w kościele, i wyprawiali tam takie krzyki, że ksiądz nie mógł dokończyć kazania. Policya wdała się w tę sprawę i musiała awanturników powyrzucać z świątyni. W piątek dnia 8 b. m. zaburzenia znów się powtórzyły. W dniu tym rano między godziną szóstą a siódmą tłum złożony z kilkaset osób, przeważnie kobiet, wyruszył na kościół i plebanię. Niektóre kobiety niosły na jednem ręku dzieci a w drugim koły, kawałki żelaza i drągi. Doszedłszy do plebanii tłum ten rozpoczął wyłamywać drzwi, a powtarzając co chwila: „lynchować księży!“ całą siłą parł się naprzód. Zapędy awanturników wstrzymała policya. Przyszło do walki między nią a tłumem. W walce odniosło rany dwóch policyantów i kilkunastu z napastników, poczem gdy policyi nadeszły posiłki, tłum widząc, że sił policyi nie przemoże, rozpierzchnął się. Policya aresztowała kilkanaście osób najbardziej ekscedujących; są to przeważnie kobiety. Arcybiskup dyecezyi chicagoskiej. ks. Feeham zamknął kościół św. Jadwigi.

Angielskie i niemieckie dzienniki rozpisując się o tych zaburzeniach nie szczędzą Polakom rozmaitych obelg, obudzają przeciw nim niechęć i nienawiść Amerykanów, — a tu niestety nic nie da się powiedzieć na obronę Polaków, bo w istocie oni zawinili i okryli się hańbą, że śmieli podnieść rękę na swych kapłanów i swe kościoły.

Sąd doraźny wykonał Jan Hryniszyn, właściciel młyna w Pikulicach pod Przemyślem, na ekonomie tamtejszego dzierżawcy, Żegockim, strzeliwszy mu w piers z rewolweru za to, że Żegocki korczując zarośla na polu dzierżawcy, chciał także zrąbać wierzbę, rosnącą przy miedzy graniczącej z polem Jana Hryniszyna, a którą to wierzbę uważał Hryniszyn za swoją. Kula z powodu grubego ubrania ugrzęzła tylko w mięśni ciała. Ciężko zranionego ekonoma odwieziono do szpitalu w Przemyślu, Hryniszyn zaś poszedł sam zameldować się do sądu.

Kwestya egipska. Z powodu obawy, że może nastąpić rzeź chrześcian w Egipcie, nie od rzeczy będzie zanotować, co pisze jeden ze znawców Egiptu o tamecznych stosunkach:

Dziś, jak przed 40-tu wiekami, Egipt zawdzięcza Nilowi byt i chleb powszedni. Nad błotnistemi wodami rzeki nazajutrz po wylewie schyla się z czcią ludność fellahów. Dzięki wylewom Nilu, olbrzymie lasy palmowe dochodzą do wspaniałych rozmiarów, niezmierzone pastwiska pokrywają się soczystą zielenią, na polach wznoszą się całe lasy trzciny cukrowej, a bawełna posyła z wiatrem swoje kwiaty śnieżyste. Dzięki wylewom Nilu rośnie *dourah*, z którego ubodzy fellahowie chleb sobie robią, dzięki wylewom Nilu już słońce kwietniowe przyświeca bogatym niwom kukurydzy i zbóż rozmaitych.

Egipt współczesny składa się, rzec można, z dwóch ludów: ludu rolników czyli fellahów i ludu urzędników. Pierwszy zawsze pochylony jest nad robotą, której plonów bywa później pozbawiany, drugi tonie w dobrobycie i bezczynności, w synekurach, opłacanych sowicie. Wśród tłumu urzędniczego znajdziecie i Anglików i Włochów i Greków i Francuzów, z których każdy stara się napełnić żołądek i kieszenie — kosztem fellaha. Prawie wszystkie wielkie państwa europejskie mają tu swoich przedstawicieli na posadach sędziów, dozorców, poborców, inżynierów. Dług publiczny i różne ciężary, przez chciwą Europę w szeregu wieków na Egipt włożone, płaci ziemia i tylko ziemia.

To też fellah pracuje od rana do nocy z wytrwałością zdumiewającą, z pewnym rodzajem fakiryzmu, obok którego przywiązanie chłopów naszych do ziemi jest uczuciem bardzo słabem. Gdy fellah

*) Ciętą satyrę niniejszą, jako możliwie wierny przekład z niemieckiego, zamieściło lwowskie „Czasopismo techniczne“, organ Towarzystwa politechnicznego.

wszystko zapłacił, czego skarb egipski od niego wymaga, nie pozostaje mu nic, jak znowu zgiąć się pod brzemieniem pracy.

Bo też niezwykłe jest położenie rządu egipskiego i wszystkich tych komisyi europejskich, które trzymają kraj nad Nilem w kleszczach żelaznych. Egipt współczesny, ściśle biorąc, nie zna wolności Maroku, ale też nie pozostaje pod jawnym protektoratem, jak np. Tunis. Jest to coś pośredniego: kraj swobodny i pozostający pod protektoratem. Swobody egipskie znajdują wyraz w prawie bicia własnej monety, posiadania własnej armii w rozmiarach ograniczonych, w przywileju zawierania traktatów, ale, jako wasal turecki, musi kedyw płacić haracz W. Porcie w wysokości 30 milionów franków, armia zaś, którą rekrutuje, pozostaje pod dowództwem oficerów angielskich. Na domiar, jeżeli chce wydać pieniądze, które bije, musi uzyskać upoważnienie państw europejskich, jeżeli zaś europejczyk popełni w Egipcie nadużycie lub zbrodnię, prawa egipskie nie mogą go ukarać bez aprobaty Anglii, Francyi, Grecyi lub Włoch, stosownie do tego, do której z tych narodowości należy indywiduum nadużywające lub zbrodnicze. Ma Egipt właściwie dwóch protektorów: Turcyę, która mu przysyła firmany, i Anglię, która prowadzi nad Nilem właściwą gospodarkę wewnętrzną.

Zwykły śmiertelnik nie zrozumie bez nadzwyczajnego wysiłku wszystkich subtelności zwierzchniczej władzy tureckiej i praw państw obcych, wszystkich przywilejów ministrów obcych, konsulów jeneralnych i zwyczajnych, komisarzy długu publicznego, administratorów, zarządców, kontrolerów i t. p. Jest to jakieś *mixtum compositum*, możliwe tylko na gruncie egipskim. Są wypadki, w których rząd egipski wydawać ma prawo decyzye za upoważnieniem czterech rządów obcych, są i takie, w których ma coś do powiedzenia rządów — czternaście.

W obecnej chwili kwestya egipska znów zaczyna wchodzić powoli na porządek dzienny. Mówią o tem głośno w Kairze, Londynie, Paryżu, Rzymie. Tylko fellah nic o tem nie wie, bo zgięty nad błotem Nilu pracuje w dalszym ciągu nad swojem polem urodzajnem, które wszystkie koszta kwestyi egipskiej zapłaci.

Ofiary. Z powodu ciężkiej zimy i wielkiej nędzy złożyły w naszej administracyi dla ubogich wdów i sierót pod opieką św. Salomei (3-cia filia św. Anny) pani Janowa Brejerowa 24 złr., pani B. Z. 6 złr.

Zmarli. Ferdynand Ruebenbauer, c. i k. major 13 p. p., ozdobiony krzyżem zasługi, medalem wojennym etc., umarł w Bochni w 62 roku życia. — W Olejowie koło Horodenki umarł właściciel tego majątku, ojciec posła do Rady państwa dr. Henryka Wielowiejskiego. — Wincenty d'Everard, pocztmistrz w Ożydowie, umarł w 39 roku życia. — Aleksander Sobolewski, emeryt. rotmistrz obrony krajowej i właściciel dóbr, umarł w Popendzynie pod Ujściem solnem koło Bochni, przeżywszy 75 lat.

Stan powietrza. T. o 8 rano —5° R. w poł. + 1° R. Bar. 751. Idzie w górę. Pogoda.

Z gramatyki kucharek.

Pani: Dla kogoż to kupiłaś te chustki?

Kucharka: A dyć dla mnie.

Pani: Znaczone literą R.?

Kucharka: Przecież — proszę pani — na imię mi... *Er*nestyna.

Z aforyzmów.

W jednym tylko wypadku rada nie zawadzi. W jakim? Gdy się pokora u mądrości radzi.

Cierpi człowiek, gdy służy sam sobie za kata: sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Teatr. Dziś we czwartek „Manon Lescaut“, opera w 4 aktach Pucciniego. W piątek „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. W sobotę „Faust“, wielka opera w 5 aktach Gounoda.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Wczoraj przedstawiono w teatrze lwowskim po raz pierwszy 3-aktową komedyę Michała Bałuckiego p. t. „Ciepła wdówka“. Recenzyę o tej sztuce zamieścimy w jutrzejszym numerze. Tymczasem zaś notujemy, że sztuka bardzo się podobała, pełno w niej dowcipów, wszyscy aktorowie grają doskonale, a wystawa jest bardzo piękna. Publiczność wywoływała kilkakrotnie autora, który jednak nie przyjechał na to przedstawienie z Krakowa.

* **Mojżesz** opera biblijna Rubinsteina, wykonaną będzie (III i VII obraz) w koncercie galicyjskiego Towarzystwa muzycznego dnia 8-go marca, z współudziałem p-ń Carnioli-Zapałkiewiczówny i Cudekówny oraz pp. Dra Szulisławskiego, Dra Czernego, Sacka, Bojarskiego, Slawiczka, Melbechowskiego, Totha i Didura. Wielkie to dzieło na sola i chóry z towarzyszeniem orkiestry, przygotowuje Towarzystwo muzyczne od dość dawna a próby zapoznały już z niem wiele osób ze świata muzykalnego, które zgodnie przyznają niepospolite zalety ostatniej tej pracy zmarłego niedawno kompozytora. Obok kompozycyi tej wykonaną będzie największa symfonia Rubinsteina „Ocean“, która również wielkie zainteresowanie budzi.

Rozmaitości.

— **Perły.** Perły posiadają poezyę, której brak brylantom; są to małe arcydzieła, którémi natura chlubi się, iż stworzyla je bez niczyjej pomocy. Drogie kamienie zawdzięczają znaczną część swej wartości i piękności przemysłowi ludzkiemu; pozostając w stanie surowym nie zwracają niczyich spojrzeń i chcąc by lśniły w świetle, zręczny robotnik musi wygładzić ich powierzchnię. Są one w istocie produktem cywilizacyi i noszą wszelkie cechy swego pochodzenia. Ze swemi liniami geometrycznemi, których jednostajność nadaje się tylko do małej liczby kombinacyj, wszystkie brylanty są podobne do siebie, jako towary pochodzące z jednej fabryki. Nie posiadają indywidualności, chyba pod warunkiem, iż dosięgają rozmiarów kolosalnych i wtedy dopiero mają akta osobiste i wtedy waga stanowi główny tytuł do sławy. Podobne są do owych olbrzymów, których ludzie podziwiają z racyi ich korpulencyi, a nie zasług.

Przeciwnie rzecz się ma z perłami. Każda z nich posiada odrębną fizyognomię i prawie niepodobna znaleźć dwóch zupełnie do siebie podobnych. Posiadają nieskończoną rozmaitość produktu naturalnego, niedotkniętego ręką ludzką. Każda ma swój kolor, formę i grę świateł.

Namiętność do brylantów może powstać tylko w narodach bardzo posuniętych pod względem cywilizacyjnym, podczas gdy upodobanie do pereł zaznacza się już w pierwszych wiekach historyi. Stare pieśni indyjskie wspominają o cudownych kroplach rosy, spadłych z nieba w nocy do muszli zapomnianej przez fale na piasku pobrzeża. Bóg Krichna był pierwszym, który wybrał się na poszukiwanie pereł w głębiach oceanu, by zrobić z nich naszyjnik dla swej ukochanej córki.

Indye pozostały krajem niewzruszonych tradycyj. Pomiędzy wyspą Ceylon i lądem stałym w zatoce Manar, gdzie jeden z bożków najbardziej czczonych przez wyznawców Brahmy, zanurzył się w fale by podmorskim władzcom zagarnąć najdroższe ich skarby — odbywa się stale od czterdziestu wieków żniwo pereł.

Co rok, w końcu lutego, gdy wiatry dmą z mniejszą siłą i burze stają się rzadsze, flotyla statków rybackich zbiera się w małym porcie Kondatschy. O północy statki rozwijają żagle i przed wschodem słońca grupują się około okrętu wojennego, który ma czuwać nad nimi.

Z pierwszym brzaskiem jutrzenki dają sygnał i statki szybko płyną ku wskazanym sobie miejcom. Rybacy nie mają chwili do stracenia, gdyż muszą zawiesić swe roboty już o godzinie 10-tej rano. Z kamieniem przywiązanym do nóg i sznurem, zaciśniętym w pasie, pięciu nurków stoi na pokładzie każdego statku, gotowych zanurzyć się w wodę. Gdy się zmęczą, pięciu towarzyszy zastąpi ich niezwłocznie.

Zazwyczaj indusi, uprawiający to niebezpieczne rzemiosło, znajdują perły w głębokości siedmiu do ośmiu metrów, zdarza się jednak, iż muszą spuszczać się do głębokości szesnastu i siedmnastu metrów.

W licznych opowiadaniach mamy mnóstwo szczegółów pełnych przesady o wyprawach nurków. Jeżeli wierzyć p. Moebius, który niedawno w „Velhagen und Klasing's Monat's Hefte“ ogłosił interesujące studyum o perłach, większość nurków indyjskich nie może pracować pod wodą dłużej niż przez 53 do 57 sekund, a ci, którzy dochodzą do maximum, ośmdziesięciu sekund, czynią wyjątkowy wysiłek.

Ci podmorscy pracownicy nie tracą czasu. Mniej niż w minutę zbierają od pięćdziesięciu do stu muszli perłowych, czasami zbierają po sto pięćdziesiąt, jeżeli „mealagrina margaritifera“ znajduje się w obfitości i daje odrywać się z łatwością.

Nie wszystkie jednak muszle zawierają perły i dlatego przemysł ten należy do zyskownych. Z muszli, przywożonych do portu Kondatschy, rząd angielski zabiera najpierw część przynależną mu, drugą zabierają kapłani świątyń, wymagający zawsze wysokiej daniny, a wreszcie trzecia dostaje się majtkom, którzy bronią nurków przed rekinami i za to dostają spore honoraryum w naturze.

Po podziale łupu muszle perłowe zakopują w piasek, gdzie pozostają do chwili rozkładu. Wówczas otwierają je i płuczą w korytach, napełnionych wodą morską i w osadzie cuchnącej masy poszukują pereł. Podczas tych robót wyziewy zaraźliwe szerzą się dokoła, zatruwają atmosferę i miasto Kondatschy staje się niemożliwem do zamieszkiwania, zwłaszcza dla europejczyków. Na szczęście perły mają ten rys wspólny ze złotem cesarza Wespazyana, że nie zachowują nieprzyjemnego odoru podczas obiegu.

Niegdyś wszystkie narody cywilizowane sprowadzały z Indyi drogie kamienie, przeznaczone na ozdoby dla elegantek lub do błyszczenia w koronach monarchów. Dziś zatoka Manaar zatraciła w części dawny monopol i połów pereł odbywa się w rozmaitych punktach kuli ziemskiej. Nurkowie z wyspy Bahrain w zatoce Perskiej i z wyspy Dahalok, niedaleko kolonii włoskiej Erythrée, odnoszą zwycięstwo nad swymi kolegami z południowego Indostanu, wydobywając z głębin morskich perły znacznie większe i piękniejszego blasku. Ławy wysp Małgorzata i Cubaqua na morzu Antylskiem były bliskie wyczerpania w czasach, gdy je eksploatowali Hiszpanie; ale na wschodnich brzegach Meksyku i małych stanów Ameryki środkowej wielka liczba pracowników podmorskich w ubraniach nieprzemakalnych i w kaskach, komunikujących się przez rurę z rezerwoarami powietrza, z powodzeniem eksploatuje głębie oceanu Spokojnego. Można tu jeszcze wymienić ławy wysp Soulou, pomiędzy Borneo a Filipinami, i wspomnieć, iż na brzegach archipelagu Tokiti i Marschall poławiają się muszle, dające bardzo cenne perły czarne.

Na ostatniej międzynarodowej wystawie rybołówstwa w Berlinie kolia z żółtych pereł indyjskich była wystawiona na sprzedaż za sto tysięcy franków, podczas gdy za kolię z białych pereł panamskich żądano 125.000 franków. W sławnem „Grüne Gewoelbe“ pałacu cesarskiego w Dreznie, zawierającem cenne kolekcye przedmiotów sztuki, można oglądać kolię, złożoną ze 177 pereł, ocenioną na jedynaście tysięcy franków. Ale są to perły rzeczne, mianowicie perły z Elstery.

Perły są wszędzie, lecz trudno je odkryć. Muszle perłowe znajdują się w rzekach Czech, Szlązka, Szwecyi, Norwegii, Rosyi i Anglii, lecz bardzo rzadko zawierają perły. Przeciwnie, połów pereł z drugiej strony oceanu Atlantyckiego dawał przez czas pewien wcale ładne dochody.

W 1856 r. krawiec Daniel Hovell dostrzegł wypadkiem, iż jedna z muszli, znalezionej w małej rzeczce stanu New-Jersey, zawierała dużą perłę, Zaniósł szacowną zdobycz do jednego z wybitniejszych jubilerów w Chicago, który zapłacił za nią siedm tysięcy franków. Ten wypadek we wszystkich terytoryach Stanów Zjednoczonych obudził gorączkę pereł tak samo silną, jak była swego czasu gorączka złota po odkryciach, dokonanych w Kalifornii. Jerzy Kuinz opisał w „Harpers Magazine“ szczególne objawy tej choroby. Wszyscy awanturnicy Nowego-Świata wybrali się na wieś i każdy chwalił się, iż znalazł swą „Crovn Pearl,“ tak bowiem nazwano perłę krawca Hovella, która niezwłocznie podniesioną została do godności klejnotu historycznego. Strumienie i rzeki Kentucky, Tennesee i Texas, zawierające muszle, właściwe wodom słodkim, zostały przeszukane gruntownie. Miliony muszli tępiono bez litości i przez dziwną ironię przypadku, muszla, zawierająca największą perłę ze wszystkich dotychczas znanych, została zniszczona rękami kucharki. Niedoświadczona irlandka ugotowała muszlę, w której znajdująca się perła byłaby ważyła 400 granów, gdyby nie została zniszczoną przez ukrop. Posiłek nigdy zapewne nie kosztował ją drożej niż tym razem.

Z początku poławiacze pereł miewali dość znaczne zyski. Pewien n. p. dom jubilerski w New-Yorku sam jeden zakupił przeszło za 500.000 fr. pereł od rozmaitego rodzaju awanturników w Texas. Piękne te czasy trwały jednak krótko. Ławy muszlowe, eksploatowane bez systemu, wyczerpały się prędko. Ze smutkiem należy dodać, iż w tym dziele zniszczenia człowiek miał nieustraszonego pomocnika. Nierogacizna nabrała gustu do muszli i pożerała je z apetytem, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy są w nich perły. Tym sposobem z drugiej strony oceanu Atlantyckiego głośna przenośnia „margaritas ante porcos“ stała się rzeczywistością.

Towarzystwo kred. ziemskie.

Lwów 28 lutego.

Dziś rozpoczęły się posiedzenia delegatów Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Obrady zagaił p. Leoncyusz Wybranowski, poczem przewodniczącym zgromadzenia wybrano p. A. Gorayskiego, zast. przewodniczącego Stanisława hr. Badeniego.

Nastąpiło sprawozdanie o wyborach delegatów Towarzystwa, które odbyły się w roku zeszłym w całym kraju. Sprawę tę referował p. Wybranowski. — Unieważniono wybór delegata z okręgu tłumackiego p. Ładomirskiego i zastępcy jego p. Szczepańskiego, a to dlatego, że na zebranie wyborcze przybyło tylko 4 wyborców, a statut wymaga, aby ich było przynajmniej sześciu.

Rada nadzorcza Towarzystwa przedłożyła także wniosek unieważnienia wyborów pp. Potworowskiego i Szeliskiego, delegata i zastępcy delegata z okręgu Bohorodczany-Nadwórna, a to dlatego, że zginął protokół wyborczy. Nad sprawą tą wywiązała się długa dyskusya, poczem zgromadzenie wniosek Rady nadzorczej odrzuciło i wybory obu tych panów uznało za ważne. Inne wybory zatwierdzono bez dyskusyi.

Następnie hr. St. Badeni przedłożył w imieniu komisyi rewizyjnej następujące wnioski: I Bilans przez Dyrekcyę za rok 1894 przedłożony zatwierdza się. II. Za administracyę majątkiem Towarzystwa w czasie od 1 stycznia do 31 grudnia 1894 udziela się Dyrekcyi absolutoryum. III Za odpowiednią administracyę funduszu rezerwowego i właściwe zarządzanie sprawami Towarzystwa, wyraża Zgromadzenie Dyrekcyi uznanie. IV. Z zysków roku 1894, wynoszących 75.379 złr, 83 ct. przeznacza się:

a) do funduszu możliwych strat wskutek 14 uchwały XXXI. Ogólnego Zgromadzenia 5.000 złr., *b)* do funduszu emerytalnego 6.000, *c)* do funduszu rekonstrukcyi domu 15.000, *d)* na uzupełnienie funduszu dyspozycyjnego za rok 1894 1.870, *e)* do funduszu rezerwowego 47.509 złr. 83 ct. V. Poleca się Dyrekcyi, by fundusz powstały z wykupna listów zastawnych w miejsce losowania, wynoszący z końcem 1894 85.243 złr. 71 ct., przelała do funduszu rezerwowego, a na przyszłość dochody z powodu wykupna listów w miejsce losowania jako ogólny dochód Towarzystna w rachunku strat i zysków uwidoczniała. VI. Na remuneracye urzędników i wsparcia dla urzędników i sług Towarzystwa kredytowego ziemskiego przeznacza się Dyrekcyi fundusz dyspozycyjny na rok 1895 w kwocie 5.000 złr. VII. Poleca się Dyrekcyi, aby z zapasów roku 1895 do funduszu możliwych strat w rachunek strat kwotę 5.000 złr. wstawiła. VIII Upoważnia się Dyrekcyę, by tym dyetaryuszom, którzy długoletnią służbą, wybitnemi zdolnościami i gorliwą, a wydatną pracą na to zasługują, dotychczasowe wynagrodzenie pozostawiła, innych zaś, o ileby się wynagrodzeniem równającem się najniższej płacy etatowej nie kontentowali, za wypłaceniem odprawy w wysokości rocznego wynagrodzenia—uwolniła.

P. Z. Dembowski prezes dyrekcyi zawiadomił zebranych, że realność przy ulicy Trzeciego Maja, na miejscu której według pierwotnej propozycyi stanąć miał nowy gmach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, kupił Bank austro-węgierski, i że konwersya listów zastawnych, dzięki energicznej pracy urzędników, została już zupełnie ukończoną.

W dalszym ciągu wyraził p. Dembowski podziękowanie galicyjskiemu Bankowi kredytowemu, który około przeprowadzenia konwersyi listów zastawnych, ogromne położył zasługi. Główną zasługę w tej sprawie położył p. dyrektor Marchwicki. (Oklaski).

Obrady delegatów odbywają się w nowej sali na 2 piętrze. Sala ta jest długa, nieakustyczna, a miejsca dziennikarskie są tak źle umieszczone, że wcale nie słychać, co delegaci przemawiają. Mimo to delegat p. Moysa zachwycał się nową salą. Mniej zachwytu wzbudziła w nim konwersya, którą zdaniem mówcy możnaby było lepiej przeprowadzić. P. delegat Włodzimierz Gniewosz krytykował salę. Podniósł, że niedogodnem dla starszych delegatów jest to, że umieszczono ją na II piętrze, dalej zarzucał, że stół dziennikarski umieszczono fatalnie i utrudniono zadanie tym, którzy podając sprawozdania, zawiadamiają o obradach osoby sprawami Towarzystwa się interesujące. P. Żurowski wniósł, aby w sali obrad oprócz znajdujących się w niej już 3 portretów śp. Oktawa Pietruskiego, Antoniego Golejewskiego i Maurycego Kraińskiego, umieszczono jeszcze portrety ks. Leona Sapiehy i hr. Kazimierza Krasickiego. P. Dembowski zapewnił, że dyrekcya życzeniu temu zadość uczyni. Wnioski hr. St. Badeniego i p. Żurowskiego przyjęto jednogłośnie.

Przystąpiono do wyborów. Prezesem Dyrekcyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego na lat 6 wybrano 64 głosami na 67 głosujących ponownie p. Zygmunta Dembowskiego.

W dalszym ciągu miano przystąpić do wyboru jednego zastępcy dyrektora na lat 4 i jednego zastępcy dyrektora na rok jeden. W sprawie tej zabrał głos komisarz rządowy hr. Łoś i podniósł, iż według § 81 statutu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wybory dyrekcyi odbywają się na lat 6; w paragrafie tym zaś nie ma żadnej wzmianki o wyborach uzupełniających. Ze względu na to musi zgromadzenie albo dokonać wyboru wszystkich członków dyrekcyi, albo też zmienić statut w ten sposób, by można było dokonywać wybory uzupełniające.

Wobec tego oświadczenia przewodniczący p. Gorayski zarządził posiedzenie poufne, na którem zgromadzeni zastanowią się, co mają uczynić: czy wybrać całą nową dyrekcyę, czy też uchwalić zmianę statutu.

Następne posiedzenie odbędzie się jutro o dziesiątej rano.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 26 lutego.

(Z.) Myślano, że ogłoszenie bilansu austryackiego zakładu kredytowego i wiadomość, że dywidenda tego banku nie będzie niższą niż zeszłoroczna, powstrzyma derutę szalejącą od dwóch dni. Jakoż rzeczywiście publikacya tego bilansu zwolniła przynajmniej tempo baissy, ale jej nie zapobiegła. Nie było wprawdzie takich nagłych skoków po kilkanaście reńskich, jak wczoraj, wszelako ostateczny rezultat jest na całej linii bardzo ujemny. Austryackie kredyty i dziś spadły o 7 zł., węgierskie o 5 zł., uniony o 4 i pół, akcye węgierskiego banku komercyalnego o 34 zł. Sprzedaże egzekucyjne kantorów giełdowych pozbywających się za jakąbądź cenę papierów kupionych u nich przez niezasobnych komitentów odbywały się i dziś na wielkie rozmiary, a likwidacya ze strony takich spekulantów, którzy są jeszcze w stanie przenieść swe zobowiązania na marzec, przychodziła z wielką trudnością, gdyż wielkie banki trudniące się lombardowaniem kupionych na giełdzie walorów są bardzo niedowierzające i żądają powiększenia zaliczek na kupione lub sprzedane papiery, czyli t. zw. Deckung, do niepraktykowanej tu nigdy wysokości.

Jednem słowem odbywa się teraz na wielką skalę wyrzucanie za nawias drobnych spekulantów, którym odebrano wszystko co posiadali i teraz już są niepotrzebni. Gdy wyrzucone zostaną z giełdy wszystkie te wyciśnięte do ostatniej kropli cytrynki, wtedy ekonomiści pism tutejszych zawołają chórem, że atmosfera jest oczyszczona, sytuacya giełdy się wzmocniła, walory przeszły w silne ręce i kursa znów podnosić się będą. Napłyną więc znów ofiary i znów kiedyś nastąpi procedura ogolenia ich Tak to na giełdzie kółkiem się toczy. „A la guerre comme à la guerre“. Wielu spekulantów broni się jeszcze do upadłego i znosi ostatnie zasoby, aby przejść z pozycyami swemi do marca, licząc na to, że w marcu przecież kursa podnieść się muszą. Sprzedają więc renty, aby uzyskać gotówkę na opłacenie kosztów prolongaty. Te sprzedaże rent obniżyły dziś znacznie ich kurs. Berlińska kontrmina kupowała i dziś i podtrzymywała w ten sposób cokolwiek kursa. Dziwna to ironia losu, że największy wróg giełdy naszej, mimowolnie jest obecnie dla niej prawdziwym dobrodziejem.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 389·—, węgierskie 457.75, Anglobanki 170·25, Uniony 314.50, Bankvereiny 152.50, Länderbanki —.—, 1 Ludwiki 220·25, Czerniowieckie 299·75, Elbathale 270·50, Renta papierowa 100·95, srebrna 101·10, austryacka złota 124·95, 4% austr. renta wal. kor. 100·85, węgierska złota 123.95, 4%, węgierska renta wal. kor. 98.75, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·81, marki 12·07, ruble 1·32¼.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 16 do 23 lutego 1895 r. — bez opłaty akcyzowej: Przenica 6·30 do 6·80, żyto 4·55 do 5·25, jęczmień browarny 4·75 do 5·65, jęczmień pastewny 4·35 do 4·75, owies 5·05 do 540, hreczka 6·80 do 7·45, kukurudza zeszłoroczna 6·10 do 6·50, kukurudza nowa 5·40 do 5·75, proso 0·00 do 0·00, groch do gotowania 6·— do 8·—, groch pastewny 4·40 do 5·10, soczewicza 0·— do 0·—, fasola 0·— do —, bobik 4·25 do 4·75, wyka 4·40 do 5·30, koniczyna 50·— do 100·—, tymotka 25·— do 35·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyz płaski —·— do —·—, kminek —·— do —·—, rzepak zimowy 8·— do 8·90, rzepak letni —·— do —·—, lnianka 5·75 do 6·50, nasienie lniane 8·— do 8·50, nasienie konopne 6·— do 6·75, chmiel 36·— do 54·—, nafta zwykła 15·— do 16·—, nafta salonowa 18·— do 19·—, wosk ziemny —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, bez podatku konsumcyjnego 13·85 do 14·15.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 28 lutego. Rada państwa załatwiła wczoraj czwarty rozdział nowego kodeksu karnego, traktujący o przekupstwach wyborczych i w ogóle o przestępstwach popełnianych wobec ciał reprezentacyjnych. Młodoczech Pacak sprzeciwiał się postanowieniom tego rozdziału, który zakazuje wywierać wpływ na wybory. Zdaniem mówcy, należałoby także nałożyć kary na urzędników, fałszujących listy wyborcze. Mówca wnosi o odesłanie tego rozdziału napowrót do komisyi. P. Scheicher postawił wniosek, ażeby karano tylko tych, którzy kupują głosy, a zapewniono bezkarność przekupionym wyborcom, jeżeli wyjawią, kto ich przekupił. Izba odrzuciła ten wniosek i po ożywionej debacie przyjęła bez zmiany cały ten rozdział. Następnie p. Pacak postawił nagły wniosek, w którym żądał, ażeby sądy nie miały prawa konfiskować dzienników za artykuły, zgadzające się zupełnie z mowami, wygłoszonemi w Radzie państwa lub w Sejmie. Minister sprawiedliwości hrabia Schoenborn oświadczył, że zgodnie z jeneralnym prokuratorem, uważa za rzecz dopuszczalną ścigać sądownie dzienniki za artykuły, chociażby nawet zupełnie zgodne z mowami parlamentarnemi, jeżeli te mowy wykraczają przeciw kodeksowi karnemu. Po bardzo ożywionej debacie odrzuciła Izba w imiennem głosowaniu nagłość wniosku Pacaka 106-ciu głosami przeciw 52.

Na końcu posiedzenia odpowiedział minister Plener na interpelacyę p. Steinwendera, żądającą wyjaśnienia, dlaczego rząd wypuścił ostatnią partyę renty złotej w 4procentowych walorach i dlaczego użył do tej operacyi pośrednictwa grupy rotszyldowskiej. Minister oświadczył, że dlatego wybrał 4procentowy typ, iż miał do tego upoważnienie od Rady państwa, a uzyskanie nowego upoważnienia do emisyi innego typu zabrałoby wiele czasu i możnaby było przez to zaniedbać chwilę korzystną do ulokowania tej renty. Pośrednictwo grupy banków było w tej sprawie konieczne, gdyż renta ta ma być ulokowana wyłącznie za granicą.

Następne posiedzenie odbędzie się jutro.

Wiedeń 28 lutego. Deputacya Koła polskiego była wczoraj u ministra Plenera i oznajmiła mu stanowisko, jakie Koło polskie w myśl uchwały sejmowej zajmie wobec projektu wprowadzenia monopolu wódczanego. Konferencya trwała półtorej godziny.

Wiedeń 28 lutego. Na wczorajszym obiedzie dworskim byli obaj Cesarze, obcy książęta, wszyscy arcyksiążęta, marszałek hiszpański Martinez Campos, ambasador niemiecki i osoby należące do świty przybyłych tu książąt. O godzinie 8 wieczorem odjechał cesarz niemiecki do Berlina. Cesarz Franciszek Józef odprowadził go na dworzec. Obaj monarchowie pożegnali się serdecznie i ucałowali się dwukrotnie. Wczoraj jeszcze odjechał także książę bawarski do Monachium, a książę Aosty do Rzymu.

Paryż 28 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu, w toku debaty nad budżetem ministerstwa robót publicznych, postawił jeden z posłów wniosek o wstawienie do tego budżetu kredytu dodatkowego 431.000 franków na polepszenie pensyi dozorców dróg. Pomimo opozycyi referenta i ministra robót publicznych uchwaliła izba ten kredyt 306 głosami przeciw 196.

Wiedeń 28 lutego. *Wiener Zeitung* ogłasza pismo odręczne Cesarza do prezesa ministrów ks. Windischgraetza, w którem Cesarz serdecznie dziękuje za ponowne prawdziwie wzniosłe dowody współczucia i przywiązania wiernych ludów, podzielających zawsze radości i cierpienia domu cesarskiego. Są one dla Monarchy dobroczynnym balsamem kojącym wielki ból. z powodu niepowetowanej straty skutkiem śmierci arcyksięcia Albechta. W końcu poleca Cesarz księciu Windischgraetzowi podać to podziękowanie do powszechnej wiadomości.

Wiedeń 28 lutego. Cesarz złożył dziś o 9 rano wizytę pożegnalną wielkiemu księciu Włodzimierzowi.

Catansaro 28 lutego. Jakiś młody kapłan strzelił z rewolweru do biskupa tutejszego i zranił go ciężko.

Nowy Jork 28 lutego. W kopalni Cerillos w Nowym Meksyku wybuchły gazy. Czterdziestu górników zginęło.

Wiedeń 28 lutego. Cesarz Wilhelm zamianował Cesarza Franciszka Józefa feldmarszałkiem armii pruskiej.

Wielki książę Włodzimierz odjechał ztąd dziś w południe.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 27 lutego. J. Kellermann z Kańczugi. S. Białoskórski ze Staj. M. Lewandowski z Rykliniec. T. Zarzycki z Chotyłub. K. Ładomirski z Markowiec. St. Komornicki z Zawadki. F. Niederhöffer z Wiednia. H. Fausak z Berlina. F. Weber z Kaaden. C. Lekczyński z Podlisek małych. A. Schütz z Krakowa. A. Michałowski z Okrajnik. St. Ożegalski z Bolechowiec. H. Wolański z Tarnopola. A. Przyłęcki z Jasła.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 27 lutego. J. hr. Weissenwolff z Ruskiej wsi. K. Horodyski z Kolędzian. B. Bzowski z Drogini. A. hr. Potocki z Krzeszowic. J. br. Konopka z Brnia. M. hr. Borkowski z Mielnicy. K. Babecki z Bratkowic. R. Wojciechowski z Dąbrowy. Wł. Komorowski z Bojanowa. Wł. Haller z Krakowa. A. Agopsowicz z Tropanówki. A. Teodorowicz z Żukowa. O. Schnell z Firlejówki. P. Tyszkowski z Rybotycz. W. Potocki z Limanowy. A. br. Raule z Jarosławia. A. br. Beck z Londynu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności

Lwów dnia 28 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 221·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 307.— do 310·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.30 101·—, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Wiedeń 28 lutego (godz. 11 w południ.) Kredyty 399.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 175.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 290.—, Akcye tyton. 247.25, Staatsbahny 393.65, Lomb. (z kup.) 106.85, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.40, Losy tureckie —·—.

41)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Chodźmy do ogrodu — dodał, zrywając się nagle z krzesła. — Duszno tutaj!...

Wyszli przez szklane drzwi zasłaniając portyerę za sobą i w jednej chwili z powszedniej prozy domowego zacisza przerzucili się w poezyę srebrzystych, przyćmionych blasków, zdających się drgać urokiem tej chwili, w której serca obojga połączone miłością bez granic, odczuwały do głębi rozkosz związku dusz i myśli. Ta noc, pełna tajemniczych czarów, miała dla nich mistyczny powab tego światła, powodzią bieli zalewającego czarne klomby drzew i fronton dworu wznoszący się w głębi parku. Nie wiadomo, co mogło kryć się w tych zgęszczonych mrokach pod staremi lipami, jakie barwy światło dzienne nakładzie na kielichy omdlałych kwiatów, czy nie zetrze uroku z murów tego gmachu, przysłoniętego lśniącemi liśćmi magnolji i girlandą ciemnych, stuletnich bluszczów, kapiących z dachu na jesienne róże w pełnym rozkwicie? Ale nie, stare rodzinne gniazdo zachowa swoją piękność, choć księżyc zdejmie zeń płaszcz fantasmagorycznych swych blasków, tylko czy serce ludzkie zniesie równie wytrwale badawcze spojrzenie rażących promieni światła prawdy i rzeczywistości?

Czy takie myśli wywołały smutek, który Gracya dostrzegła na twarzy swego ukochanego, gdy stał milczący, wsparty o drzewo magnolii, zasłuchany w daleki szum morza? Ona nie czuła cienia smutku, ani obawy w duszy. Rozkoszowała się tą ciszą, wśród której słyszała tylko uderzenie serca wezbranego falą szczęścia, która podniosła się tak wysoko, że ztamtąd mogła już tylko opadać ku ziemi, ale w rytmicznem falowaniu, przybierając w siebie coraz to nowe prądy uczucia przekształconego tylko co do formy. Dłoń jej cisnęła jego ramię drgające przyspieszonem tętnem pulsu, a dusza jej rozmarzona chłonęła w siebie cały harmonijny czar nocy zasianej gwiazdami, skąpanej w woni kwiatów i perłach rosy.

Z otwartych okien pałacu popłynęły na ogród dźwięki muzyki. Wydało jej się, że ten stary dom rodzinny, który tak ukochała wszystkiemi wspomnieniami dzieciństwa, stał się nagle istotą czuciem obdarzoną, która znalazła głos dla wypowiedzenia tajemnic swojej długo uśpionej duszy. Z wejrzeniem miłości zwróciła się ku szarym murom, które przyoblekły się w jej oczach nową pięknością; majestatyczne drzewa, dalekie pola, falujące łany zboża, nawet kwiaty rosnące na trawnikach milsze jej się wydały dziś niż kiedykolwiek. Cieszyła się z bogactw, którem hojny los ją obdarzył, bo jutro on będzie ich panem i władcą. Naraz uczuła, że Andrzej coraz goręcej ciśnie dłoń jej do swego serca, które zdawało się rwać w piersi.

— Gracyo — rzekł, tonąc namiętnym wzrokiem w jej oczach miłośnie zwróconych ku niemu — chcę... muszę... wyznać ci coś... z przeszłości...

— Nie! przerwała, tuląc twarz na jego ramieniu. — Nie!... Niech przeszłość zostanie na wieki pogrzebaną!

— Najmilsza moja!.. nie powinno być tajemnic pomiędzy nami. Powinienem był dawniej to uczynić. Dziś obowiązek mi nakazuje...

— Nie! och! nie! — zawołała, drżąc cała.— Nie psuj mi uroku tej chwili. Niech to, co było, pójdzie w niepamięć... Ja ci ufam... ufam bez granic!...

— Jam nie godzien tego zaufania, aniele mój! — odparł cichym, głęboko skruszonym głosem. — Ty nic nie wiesz... nie wyobrażasz sobie, jak...

— Przestań! — prosiła tonem namiętnego błagania. — Jeżeliś w czemkolwiek przewinił, ja nie chcę o tem wiedzieć! Zostaw mnie w mojej nieświadomości... nie budź z zaślepienia! Andrzeju!... mój jedyny... mój ukochany ze wszystkich sił serca i duszy!

Oboje drżeli teraz jak liście osiny; serca ich uderzały obopólnem wzruszeniem, szybki oddech podnosił ich piersi. Andrzej milczał czas jakiś, nagle zatrząsł się cały i jakby powalony o ziemię nadmiarem uczuć rozsadzających mu piersi, rzucił się do jej stóp, wybuchając potokiem słów jak lawa gorących i rozpłomienionych, w których wynurzał jej całą miłość swoją. O ciemnej tajemnicy przeszłości nie wspomniał już więcej ani słowem.

W kilka minut później Ryszard Marlowe uchyliwszy nieco firankę, wyjrzał przez okno na światło księżyca padające w pełni na stojące wpośród trawnika nieruchome postacie obojga kochanków, splecione w długim, milczącym uścisku. Twarz jego, zazwyczaj tak wesoła, zbladła nieco, usta zacisnęły się silnie. Dłoń podniesiona skurczyła się nerwowo nad fałdami firanki. Stał i patrzył przez chwilę źrenicami, które zdawały się rozszerzać, potem cicho opuścił zasłonę i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie widać ich — rzekł spokojnie do pani Forde Cusacke, która oglądała się za narzeczonymi.

Andrzejowi wydało się, że śni na jawie, gdy nazajutrz znalazł się w kościele wśród kwitnących krzewów i snopów słonecznych blasków, tęczą rozsianych po posadzce, wyczekując na ślubny orszak.

W miarę jak upływały minuty, ogarniał go jakiś dziwny, gorączkowy niepokój. Cóż się stanie, jeżeli ona, ta jego umiłowana nie zjawi się wcale? Jeżeli duch zmarłej, który go trzymał na uwięzi srebrnego łańcuszka pozostałego w zaskrzepłej ręce, stanie pomiędzy nimi u stóp ołtarza i upomni się o swoje zgwałcone prawa? Może w ostatniej chwili Gracya dowiedziała się prawdy? Może to dziecko o czarnych, niezgłębionych oczach w jakiś dziwny, niewytłómaczony sposób zdradziło przed nią tajemnicę swego pochodzenia? A może nagle umarła w nocy... Wszak Renata także umarła nagle. Czuł, że coś miesza mu się w mózgu, że myśli jego plączą się w bezładnie. Może to obłęd go chwyta... obłęd skutkiem nadmiaru natężenia nerwów...

Szmer u drzwi... Może to nareszcie panna młoda? Nie; to lady Zuzanna, promieniejąca, śliczna, w perłowego koloru aksamitnej sukni, bogato przystrojonej pajęczemi, brabanckiemi koronkami. Jaka szlachetna pogoda duszy jaśnieje na jej czole, jaka dystynkcya w jej ruchach! Jakim jasnym promieniem macierzyńskiego uczucia rozbłysły jej piękne, czarne oczy, kiedy spojrzała na syna! Bo też było na co patrzeć. Piękny, wysoki, energiczny, o bladem, rozumnem czole, arystokratycznych rysach i łagodnym wyrazie ust, Andrzej przedstawiał skończony typ męzkiej urody. Żadna z obecnych kobiet nie dziwiła się, że bogata i piękna dziedziczka Swanbournu wybrała jego jednego z pomiędzy tłumu wielbicieli.

Nareszcie w szeroko otwartych podwojach kościelnych ukazała się starannie wygolona twarz pana Forde Cusacke, który z podniesioną głową i imponującą twarzą szedł wolno ku ołtarzowi wśród szeregów zwartego tłumu gości i wieśniaków. Czarny frak, biały krawat i bukiet przypięty do jego szerokiej piersi, oraz jasne rękawiczki podnosiły jeszcze bardziej jego pompatyczną minę. Zdawał się jakby umyślnie stworzonym do noszenia odświętnego stroju i do wygłaszania mówek na weselnych uroczystościach. Cały regiment infanteryi małych Forde Cusacke'ów postępował za panną młodą, która jaśniejąca pięknością i wdziękiem, z młodocianą powagą na pobladłem czole szła wśród orszaku druchn, wsparta na ramieniu swego ojczyma.

Andrzej stał zapatrzony w nią a przejrzysty welon spuszczony na twarz Gracyi przypomniał mu obłoczyste puchy śnieżne, które zimnym całunem spowiły postać tamtej. Lśniące fałdy szeleszczącej morowej sukni mieniły się w jego oczach jak śnieg połyskujący w słonecznych promieniach zimowego poranku. Odurzający zapach tuberoz i pomarańczowego kwiecia z którego uwity był wspaniały bukiet panny młodej, przypomniał mu tamte blade kwiaty, rozsypane na śmiertelnem łożu jego pierwszej żony. Uczuł w głowie dziwny zamęt, zaledwie był w stanie rozróżnić złudzenie od rzeczywistości. Nie zrozumiał ani jednego słowa z przemowy, jaką biskup miał do nowożeńców; nie słyszał muzyki grzmiących organów, ani chóralnego śpiewu; nawpół przytomnie odpowiadał na składane mu powinszowania i sam nie wiedział kiedy podpisał nazwisko swoje na akcie ślubnym w zakrystyi. Potem wśród radosnego bicia dzwonów, wśród gromadki dzieci i sypiących kwiaty pod stopy młodej pary, wśród powodzi świateł i szelestu jedwabiów wydostał się na świeże powietrze i słońce, powtarzając machinalnie w duchu słowa usłyszane przed chwilą: razem, aż dopóki nas śmierć nie rozłączy.

Straszliwy ciężar spadł z jego duszy; oczy zabłysły ogniem, krok nabrał elastyczności. Żelazne pęta, które niegdyś przykuły go do niekochanej kobiety, dziś połączyły go nierozerwalnym ogniwem z wybraną jego serca. Radość bez granic rozpierała jego piersi: szedł wyprostowany, dumny szczęściem, prowadząc piękną oblubienicę, której drobna dłoń obciągnięta białą rękawiczką drżała lekko wspierając się na jego ramieniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.